



ROK LIX

Nr 50

WSPÓLDZIELNIA

TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, DNIA 11 GRUDNIA 1926 ROKU

TREŚĆ NUMERU: Dom akademikzek — *H. Ceyssingerówna*. Biblioteka dla dzieci — *Helena Handelsmanówna*. O dwóch nowych ustawach wielkiej doniosłości — *Prawnik*. Polki na obczyźnie — *C. Walewska*. Wiersz: „Smutki miłosne” — *Izola*. Jeden dzień na Maderze (dok.) — *P. Mantegazza* — autor, przekł. *T. Jakubowicza*. Szkoła szczęścia — *Annie Vivanti* — tłum. z włoskiego *Julja Wawelberg*. W sprawie kształcenia i wychowania naszej młodzieży — *A. Pobożanka*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Z teatrów — *Z. P.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Haft ściąganiem przeciąganym i okręcanym. Tea gown a pyjama — *Well*. Polska współczesna. O wnętrzach mieszkaniowych c. d. — *Zygmunt Knothe*. O podarkach świątecznych — *M. K. F. Pszczoły* — *H. C.* Parę słów o gotowaniu — *H.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Trzy kobiety annamickie” — *C. Chivas - Bazań* (tłum. *Dr. M. Kastarska*). Arkusz wzorów.

DOM AKADEMICZEK



ycie żeńskiej młodzieży akademickiej płynie dziwnie cichym i spokojnym nurtem, nie uzewnętrzniając się prawie wcale.

Niemniej nurt ten musi być głębokim i godnym poznania, skoro dziś ujawnia się takim poważnym czynem, jak budowa własnego Domu. Weźmy rzeczy w historycznym porządku.

W r. 1918 powstało stowarzyszenie młodzieży akad. obojej płci p. n. „Współdzielnia”. Współdzielnia ta, licząca około 500 uczestników, w rozmaity sposób niosła pomoc stowarzyszonym; prowadziła działy: odzieżowy i żywnościowy, ale na pierwszy plan wysuwała się potrzeba mieszkań, zwłaszcza dla studentek, których dola pod tym względem stawała się coraz przykrzejszą. Przybyłym z prowincji, brak mieszkań uniemożliwiał poprostu studja. Wobec tego „Współdzielnia” zorganizowała dwa „ogniska” dla akademikzek: przy ul. Wspólnej 10 i Żórawiej 15, obliczone razem na 100 osób. Nie rozwiązało to jednak jeszcze zagadnienia. Głód mieszkań dawał się wciąż czuć bardzo dotkliwie. Wilgotne mury, byłe wozownie itp. zamieniali różni przedsiębiorcy na zbiorowe lokale dla studentek. Powstała zatem myśl zbudowania własnego domu.

Podstawą zfinansowania tego pomysłu stało się 15 tys. zł., złożone przez akademikzki, i plac (26 tys. metrów kwadratowych) przy ul. Górnośląskiej, ofiarowany przez Zarząd Miasta.

W r. 1922 położono kamień węgielny pod budowę, której kosztorys nakreślony został na sumę 1.300.000 zł. Dziś „Dom” jest na ukończeniu i można powiedzieć, że niemal w całości jest dziełem samopomocy stowarzyszonych. Pięćdziesiąt procent z czystego (opłaty, składanej corocznie przez młodzież, jako wpisowe) wynosi ogółem około 400 tys. zł. rocznie. Z sumy tej 80 tysięcy, jako przynależną część, oddawano akademikkom na budowę ich domu. Po za tem odpowiedni procent dawał im corocznie t. zw. „Tydzień Akademika”. Wszystko to jednak nie wystarczało. Zaciągnięto więc pożyczkę w Banku Budowlanym i Banku Gospodarstwa Krajowego. Pożyczki te będą oczywiście, amortyzowane stopniowo z dochodów instytucji.

Magistrat wreszcie dał około 60 tysięcy zł.

I oto ze wszystkich tych źródeł osiągniętą sumę 900 tys. zł. włożono w budowę. Obecnie wystarczyłoby 300 tys. na zupełne wykończenie dzieła. Jak widać, koszt budowy nie wynoszą nawet przewidzianej kosztorysem sumy.

W obecnej chwili jednakże „Współdzielnia” musi przedsięwziąć nowe starania u Rządu, czy Miasta, czy instytucji finansowych i kredytowych.

Charakterystycznym w tej całej historii jest: ani jednego legatu, ani jednego zapisu! Żadnej pomocy ze strony poszczególnych członków społeczeństwa, żadnej — ze strony organizacji, stowarzyszeń!

„Współdzielnia” pragnęła zainteresować „Do mem” stowarzyszenia kobiece, ale te, zajęte swemi kło-

potami, nie mogły, nie umiały, czy nie chciały dać pomocy.

Zimno i obojętnie patrzył ogół, jak młodzież walczy z nędzą, jak własnym wysiłkiem buduje trwałą przystań dla przyszłych generacji studentek. Ogólną biedą nie można takich rzeczy wytłumaczyć. Są u nas bogactwa, są kapitały, ale egoistycznie zamknięte w skrzyniach samolubstwa. Te skrzynie otwierają się chwilami, a bywa to np. w momentach wyborów.

Ile wówczas milionów wydaje się na plakaty, odezwy, karteczki, błotem wzajemnie bryzgające na siebie! Ile na farbę, szpecącą mury, a często i marmury naszych miast, nachalnie narzucającymi się numerami list wyborczych! Ile na agitację!

Ale gdy chodzi o pracę twórczą, o budowanie nowej Polski, skrzynie zamykają się z trzaskiem, który słyhać będzie jeszcze długo w dalekich regionach przyszłości.

Tymczasem „Dom Akademiczek“ już stoi i, choć niewykończony, daje schronisko 160 studentkom. Jako jaskółki, zajęły niewiasty górne piętra: czwarte, trzecie i drugie. Na pierwszym piętrze i na parterze jeszcze gruz, farba, wapno, cegły. Kręcą się robotnicy, tynkują, malują, kładą podłogi...

Dom jest obliczony na 300 mieszkańek.

Parter przeznaczony został na wielką jadalnię, w której mieści się do 800 osób. W sali tej jest estrada i miejsce na bufet. Można będzie zatem zamieniać ją dowoli na salę obrad, zebrań, koncertów, odczytów itd. Dalej mieści się wielka kuchnia, spiżarnia, składy i 2 pokoje klubowe. Resztę zbywającego jeszcze miejsca obróci się na pokoje mieszkalne. Pokoje mieszkalne biegną nadto przez 4 piętra gmachu frontowego i dwóch skrzydeł bocznych. Prawie wszystkie są słoneczne, z rozległym widokiem na Powiśle, albo na ogród sejmowy.

Wchodzę do takiego pokoju i od razu — szkaradne uczucie zazdrości: jakżeż mi żal, że nie jestem i nie będę już studentką!.. Bo, wyobraźcie sobie tylko: maleńki przedpokój, z którego otwierają się drzwi na boki: do umywalni (zawsze woda zimna i gorąca), do szafy na suknie, do schowanka na rzeczy. Wprost — wejście do pokoju. Nieduży, ale śliczny, czystutki, o gładkich, nie zatrzymujących kurzu, drewnianych sprzętach. A sprzęty te tak przewidująco konstruowane, żeby, zabierając mało miejsca, jaknajwiększe dawały pożytki.

Więc jest łóżko żelazne z bardzo wygodnym materacem, jest biurko z szufladami na skrypty, papiery, kajety, jest stół, na którym można spożywać posiłek,

oraz bielizniarka o trzech szufladach, będąca razem toaletą, bo ma szafkę lustrzaną na drobiazgi i kilka jeszcze drobniejszych szufladek i półeczek. Nad drzwiami, u góry biegnie framuga, w której można ustawić doniczki z kwiatami. Tu spuszcza się kilka zielonych gałązek, i umila to jasne wnętrze.

A teraz już myśl mniej egoistyczna:

Kiedyż przyjdzie ten czas, gdy w Polsce każdy, ale to każdy człowiek mieć będzie do swego użytku taki pokój własny?...

Bo naprawdę człowiekowi więcej nie potrzeba do spokoju, do pracy, do miłego i normalnego życia. Oczywiście, życie normalne rodziny nie zmieści się w jednym pokoju, ale obliczać się powinno: jeden pokój dla każdego dorosłego członka rodziny i jeden dla dwojga dzieci.

Bardzo dalecy jesteśmy od tej normy, czy od tego minimum. To, o czym mówię, to da się zapewne wprowadzić dopiero w „szklanych domach“ Żeromskiego,

Pokój, opisany powyżej, to pokój na jedną osobę, ale są także dwu i 3 osobowe. Tych umeblowanie wygląda nieco odmiennie. Pokoje jednoosobowe przeznaczają się dla studentek, kończących studia i potrzebujących pracować w największym spokoju i skupieniu.

Pokój taki kosztuje obecnie z całym umeblowaniem 30 zł. miesięcznie. Mieszkanki pokoju 2 osobowego płacą po 22 zł. 3 osobowego po 15 zł. miesięcznie. Zarząd „Domu“ zastrzega się jednak bardzo mocno, że są to ceny tymczasowe. Będą podwyższone, bo tego wymaga zasada samowystarczalności. „Dom“ zarobić musi nie tylko na siebie, ale i na procenty od pożyczek, na amortyzację długów.

Poza tem wszystkim, co zawiera pokój mieszkalny, studentka korzystać może bezpłatnie ze wszystkich urządzeń domowych: wanien, natrysków itd. itd. W jadalni otrzyma bardzo tani, a zdrowy i dobrze przyrządzony posiłek. Po niewielkim ogródku, dzielącym gmach od sąsiedniej kamienicy, przechadzać się będzie, ucząc się, czytając, lub wypoczywając po pracy.

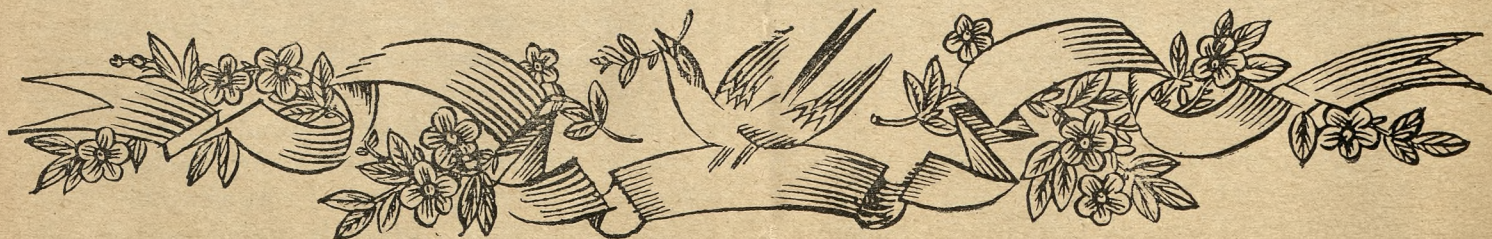
Gdy przyjdą do niej goście, zatrzymają się w wielkim i miłym „hallu“ biegnącym dokoła wewnętrznych ścian domu przez wszystkie piętra. Tu będą ustawione stoliki i krzesła... na stolikach — dzienniki, ilustracje.

Tych ostatnich dotknięć przewidującej ręki brak tu jeszcze, ale niezadługo będą.

I czy, naprawdę, nie można pozazdrościć mieszkankom tego „Domu“?

A są to wszystko cuda zbiorowej, wytrwałej pracy.

H. Ceyssingerówna.



BIBLIOTEKI DLA DZIECI

Odczyt wygłoszony w dniu 1. XI b. r. na II zjeździe Bibliofilów Polskich w Warszawie.

Dla zaznajomienia się ze sprawą biblio tek dla dzieci w Polsce, należy rozejrzeć się, jak biblioteki — takie zorgani zowano w Ameryce i w Europie — w tych krajach, gdzie powstawały one, dzięki Ameryce. Bo Ameryka od przeszło 30 lat, zrozumiała znaczenie społeczne i wychowawcze bibliotek dla dzieci i przy każdej bibliotece publicznej zakłada czytelnice i wypożyczalnie specjalnie dla dzieci. Propaguje książkę wszędzie — przez dziecko zainteresowują się opiekunowie jego — stwarza biblioteki lotne, które docierają do najbardziej oddalonych punktów cywilizacji. W bibliotekach dla dzieci propaguje się rozwój samodzielności, wolność osobistą — dziecku radzi się tylko, gdy samo zwraca się o radę; niema kar, niema wyznaczonych godzin nauki, niema narzuconego obowiązku — jest dobro publiczne, które jest dobrem każdej poszczególnej jednostki i dlatego jednostka uczy się dbać o to dobro publiczne.

Czytelnia składa się zwykle z kilku sal a — w środkowej są drzwi wejściowe i siedzi bibliotekarka. Do niej zwraca się dziecko, chcące uczęszczać do czytelnicy, mówi swe imię i nazwisko, wiek, szkołę, klasę — bibliotekarka wpisuje dane te na kartę, która służy jako karta wstępu. Dzieci zapisane wybierają sobie same książki z półek — dość niskich, by mogły dostać do najwyższej, i bez żadnych już formalności zasiadają wygodnie (odpowiednie meble) i czytają. Książkę po przeczytaniu zwracają bibliotekarce, która odstawia ją na miejsce. Na półkach znajdują się napisy o przestrzeganiu porządku i czystości, np. „dzieci z czystymi rękami mogą brać książki” (a nie: „nie wolno brać książek, jeśli masz brudne ręce”). Decyzję, czy ma ręce czyste, czy brudne, pozostawia się dziecku — oczywiście, bibliotekarka od czasu do czasu, spacerując po sali, sprawdza, czy dziecko książki, szczególnie książki ozdobnej — nie powala.

Na ścianach biblioteki porozwieszane są reprodukcje obrazów, przedstawiających, czy to bistorię pewnego kraju, czy też portrety poszczególnych osób. Poza tytułem zawsze dodany jest krótki opis treści — w ten sposób dziecko kształci się — patrząc.

Oprócz czytelnicy w każdej bibliotece publicznej jest wypożyczalnia specjalna. Książki wypożycza się na czas dwu tygodni, po wypełnieniu przez czytelnika odpowiedniego formularza. Formularz ten zawiera na odwrocie — w formie rozmowy książki z dzieckiem — pewne zastrzeżenia, co do sposobu odnoszenia się dziecka do książki. („Nie walaj mnie atramentem, bo zbrzydne. Nie kładź mnie otwartej kartkami na stół lub podłogę — nie byłoby ci miło, gdyby z tobą tak uczynili”). Zastrzeżenia te podane są w formie dość naiwnej, ale bodaj, że najłatwiej trafiają do wyobraźni dziecka. Umeblowanie jest jasne, proste i wygodne. Dużo światła i kwiatów.

Tak urządza Ameryka miejsce, gdzie dziecko powinno nabywać wiedzę bez przymusu, nie czując często ciężkiej nad nim opieki starszych, gdzie powinno ono czuć się, jak w domu, a często nawet może lepiej, niż w domu, powinno się czuć „u siebie”. Do wytworzenia tej atmosfery ciepła domowego ogniska przyczynia się w dużej mierze wprowadzenie co czas jakiś „story hour” — godziny opowiadań. Bibliotekarka zbiera działkę wokół siebie i opowiada im, lub odczytuje — pozwalając przerywać sobie pytaniami — ciekawsze ustępy z książek, które w księgozbiore

powinny się znajdować, gdyż po wysłuchaniu opowiadania, dziecko często chce jeszcze przeczytać historię usłyszaną. Czasem może to być jakaś historia nadzwyczajna, która — ilustrowana przezrociami, lub kinem — pobudza fantazję dziecka. Wiek dzieci od 6 — 14 lat — wiek szkolny: młodzież będzie już uczęszczała do biblioteki publicznej (często w tym samym gmachu), ale będzie umiała już czytać i dobierać sobie książki, nauczona w tej swojej — cichej i przytulnej bibliotece dla dzieci.

Nic dziwnego, że Ameryka, przynosząc strawę fizyczną, zniszczonej przez wojnę światową Belgii i Francji, przyniosła im również strawę duchową, pomagając do odbudowy bibliotek i stwarzając biblioteki dla dzieci — dla tej podwaliny narodów. „The Book Committee on Children's Libraries”, przy pomocy komitetu miejscowego otworzył w końcu r. 1920 pierwszą w Belgii bibliotekę dla dzieci w Brukseli, pod nazwą „L'Heure Joyeuse”. Ta „Godzina Radosna” jest dostępna dla dzieci w ciągu całego niemal dnia (10 — 12^{1/2}, 14^{1/2} — 18) przez cały rok. Księgozbiór — około 2.000 dzieł — zawiera książki ze wszystkich dziedzin życia, ilustracje, czasopisma. Książki są oprawione i to dość barwnie — dziecko pociąga przede wszystkim okładką, no — i grubość książki. Przy pomocy ładnej okładki można często przemycić książkę o treści więcej naukowej, które narówni z książkami cieniemi nie cieszą się powodzeniem u dzieci.

Zarząd biblioteki pozostaje w ścisłym kontakcie ze szkołami, z których rekrutują się czytelnicy — w czasie godzin szkolnych nie wolno korzystać z biblioteki, chyba za specjalnem pozwoleniem zarządu szkoły.

Dziecku, które po raz pierwszy przychodzi, tłumaczy się zasady korzystania z biblioteki i poleca się wpisanie do zeszytu, zawierającego w nagłówku słowa... „wpisując się do tej księgi, zostaje członkiem stowarzyszenia. Przysięgam starannie obchodzić się z książkami i stosować się do przepisów bibliotecznych”. Następnie bibliotekarka wpisuje numer kolejny, datę, adres, imiona rodziców, adres szkoły, klasę, wiek. Też same dane (oprócz imion rodziców) umieszcza się na karcie; karty czytelników układane są alfabetycznie, według nazwisk. Dziecko wybiera książki samo z półek, tak, jak w bibliotekach amerykańskich, ale potem podaje książkę wraz z kartą swoją bibliotekarce, która, jeśli uważa, że książka jest odpowiednia, wpisuje numer książki wraz z datą na kartę. Dziecku nie wolno odkładać książek przeczytanych na miejsce — oddawać powinno bibliotekarce; nie wolno mu wychodzić z sali, dopóki książki nie odda. Dzieci niegrzeczne, lub brudne są usuwane z sali, rodzice lub szkoła jest o tem zawiadamiana.

Biblioteka posiada katalog kartkowy, alfabetyczny i działowy, jednak dzieci przeważnie z niego nie korzystają; mając dostęp do książek, wolą książki przeglądać, a nie sądzić z tytułu. Wiek dzieci dopuszczanych do czytelnicy: od kiedy umieją czytać do lat 16. Dziecko pilnie i uważnie czyta w ciągu 1^{1/2} godz., po tym czasie uwaga się rozprasza. Jest tu również, jak i w bibliotekach amerykańskich „godzina opowieści”; dla młodszych — bajki, dla starszych — na tematy aktualne.

Ta pierwsza biblioteka dla dzieci, stworzona przez Amerykę, została przejęta przez miasto i jest nadal przez miasto utrzymywana. Zapoczątkowała ona roz-

wój bibliotek dla dzieci — oczywiście w zakresie dużo skromniejszym — w całej Belgii. Powstają one z inicjatywy prywatnej, wydatnie popierane przez zarządy miast. Zbędne byłoby drobiazgowo opisywanie biblioteki dla dzieci, stworzonej w Paryżu w końcu r. 1924. Pod taką samą nazwą, jak brukselska, stworzona przez tę samą instytucję amerykańską, prowadzona na tych samych zasadach. Lokal jest mniejszy, ale tak samo kładzie się nacisk na to, by dziecko czuło się „u siebie“, książki dobiera się dobre, takie, które ułatwiły by dziecku przygotowanie do twórczej działalności w życiu i do samodzielności. Książki te podzielone są według treści: na poważne (względnie naukowe) i powieści. System klasyfikacji dziesiętny. Dzieci dobrze zapamiętują często bardzo skomplikowane symbole. Kataloguje się książki według autorów i według treści, tak, że zwykle jedna książka opisywana jest na wielu kartkach. Na każdej kartce podana jest króciutka treść książki. Biblioteka zawiera około 2.000 tomów; 1.400 w jednym egzemplarzu, oraz 600 tomów dubletów — jako materiał dla wypożyczalni. Oczywiście atrakcją biblioteki są również „godziny opowieści“. Biblioteka otwarta jest od 9-tej do 6-ej.

W Polsce wzorowano się na bibliotekach amerykańskich. Ale Ameryka nie pomagała w tym zakresie. Znaleźli się ludzie, którym dobro dziecka leżało na sercu i którzy, mając bardzo małe fundusze do rozporządzenia, nie zlekli się pracy i przeszkód i stworzyli cały szereg bibliotek dla dzieci, mogących częściowo dziś służyć za wzór dla innych tego rodzaju instytucji.

Pierwsza biblioteka dla dzieci powstała w Łodzi, finansowana przez Radę Miejską Łódzką. Powstała ona niemal równocześnie z belgijską, znacznie wcześniej, niż paryska — w 1922 r. — nie miała wzorów europejskich. Była to próba, która się udała i dzisiaj już jest naśladowana. Dziś egzystuje w Łodzi 5 bibliotek dla dzieci, posiadających razem około 15.000 dzieł (biblioteki mają: jedna — około 6.000, druga — około 3.000, 3 — po 2.000 dzieł). Znajdują się na krańcach miasta w sąsiedztwie szkół powszechnych tak, że czytelnicy każdej poszczególnej biblioteki rekrutują się z sąsiednich szkół. Dobór książek stosuje się przeważnie do programu szkolnego, gdyż w Łodzi dzieci, nie podlegające przymusowi szkolnemu, są tak rzadkiem zjawiskiem, że właściwie biblioteki te są przeznaczone tylko dla dziatwy szkolnej do lat 15-tu; w razach wyjątkowych przyjmowane są dzieci nie chodzące do szkół. W każdej bibliotece są 2 bibliotekarki i jeden woźny. Bibliotekarki mają wykształcenie pedagogiczne, oraz przechodzą krótki kurs bibliotekarski. Bibliotekarka w bibliotekach dla dzieci może mieć mniej fachowo — bibliotekarskiego wykształcenia, musi mieć jednak „wycucie“ swoich czytelników, musi wszystkich lubić, powinni oni czuć w bibliotece, jakby rówieśnicę swoją, a jednocześnie doradczynię i opiekunkę.

Książki są częściowo kupowane, częściowo pochodzą z darów, wszystkie są oprawiane. Katalogi (kartkowe, w kłamrach) są alfabetyczne i dziecko jednak woli zwracać się do bibliotekarki, która mu sama książkę wyszukuje. Biblioteka jest otwarta od 9-tej do 4-ej, połączona z wypożyczalnią. Wypożyczać książki można naraz 2, naprzeciąg jednego miesiąca. Na odwrocie legitymacji, upoważniającej do wypożyczania, znajdują się krótkie przepisy, mniej więcej takie same, jakie obowiązują we wszystkich wypożyczalniach. Każdy czytelnik, wypożyczający do domu, czy

też na miejscu, ma oprócz legitymacji kartę swą u bibliotekarki, oraz składa deklarację, potwierdzoną przez szkołę i opiekunów (nazwisko, imię, wiek, imiona rodziców, adres, data zapisu). Dzieci w Łodzi głównie korzystają z wypożyczalni.

W czytelnicy i wypożyczalni rozwieszone są na ścianach reprodukcje ze sztuki polskiej, u dołu — krótka treść obrazu (rysunki Grottgera), na oknach — rośliny, w świetlicy — czytelnicy — pianino. Nogi krzeseł obite gumą (usuwa się przyczynę hałasu przy poruszaniu). Co jakiś czas urządzane są „godziny opowiadań“, ilustrowane muzyką i rysunkiem.

Dzieci rządzą się same. Mają swój samorząd, ustawę, odbywają posiedzenia — uczą się żyć rządnie. Jest to dlatego możliwe, że rekrutują się z jednej, czy też dwu szkół, znają się między sobą, i przeważnie przez cały ciąg nauki te same dzieci uczęszczają do tej samej czytelnicy.

W czytelnicy 1-ej (posiadającej dziś dzieł około 6.000) frekwencja w r. 1925 była około 42.000 dzieci; przewyżka ilości chłopców nad dziewczętami niemal dwukrotna (tłumaczy się to nie małym zainteresowaniem dziewcząt, tylko tem, że pomagają w domu dużo więcej, niż chłopcy). Najpoczytniejsze były bajki, potem powieści historyczne, przygody i podróże; dwa razy mniejsze, niż beletrystyką, było zainteresowanie przyrodą, mniejsze jeszcze — geografją; duże zainteresowanie wzbudzały czasopisma. W czytelnicy było czytelników około 15.000, którzy czytali około 30.000 książek. W ciągu dwu lat zgubiono 14 książek.

W Warszawie w marcu 1925 r. grono pań, bibliotekarek zawodowych, postanowiło — niezależnie od jakiegokolwiek instytucji społecznej — spróbować czy, prawie bez funduszy, a dając tylko swoją dobrą wolę, czas i umiłowanie dziecka, potrafią stworzyć i utrzymać czytelnicy dla dzieci, wzorowaną na przykładach amerykańskich: możliwie nie krępowaną wolność. Próba się powiodła. W gmachu Biblioteki Publicznej (Koszykowa 26) otrzymano piękną salę z odpowiedniami półkami, wygodnymi stołami i ławkami, dobrze oświetloną, i otrzymano również 100 książek, wypożyczonych z księgozbioru Biblioteki Publicznej. Biblioteka dla dzieci I-a (jako oddział Biblioteki Publicznej) otwarta była trzy razy tygodniowo przez osiem miesięcy w roku. Frekwencja od marca do wakacji była 20 — 30 dzieci dziennie; po wakacjach przewyższyła ilość miejsc, tak, że należało ograniczyć ilość czytelników do 50 dziennie. I tu przeważają chłopcy. Książki — poza wypożyczonymi od Biblioteki Publicznej — biblioteka dla dzieci otrzymuje z darów osób prywatnych i niektórych księgarni (jak np. Towarzystwo Wydawnicze „Biblioteka Polska“ i in.); większość nakładców odstępuje duży procent przy kupnie. W ciągu roku dzieci czytało około 3.000, żądań książek było ok. 4.000 (przy ok. 300 tomach). Pieniądze na prowadzenie biblioteki gromadzą się ze składek członkowskich. Wobec powodzenia biblioteki I-ej postanowiono otworzyć w kwietniu 1926 roku oddział II, również w lokalu, udzielonym bezpłatnie przez Towarzystwo Krajoznawcze (przy ul. Karowej). Książek na początek było 200; zawiadomiono o otwarciu biblioteki szkoły powszechne z okolic ul. Karowej. Frekwencja była około 30 czytelników, a raczej czytelniczek, dziennie, gdyż tylko szkoła żeńska przysyłała swoje uczennice.

I w pierwszej i w drugiej bibliotece dla dzieci były dni czytania (raz na tydzień) i od czasu do czasu opowiadania, ilustrowane przezroczami. Opo-

wiadania cieszyły się niebывałym powodzeniem. Dzieci zawsze upominały się o nie. Biblioteka przy ul. Koszykowej otwarta jest w niedziele od 11—13; w środy i piątki — od 16—18; biblioteka przy ul. Karowej otwarta jest w poniedziałki, środy i czwartki od 16—18.

Dziś toż samo grono pań pragnęłoby rozszerzyć swoją działalność na krańce miasta, widząc z własnego doświadczenia, jak umoralniająco wpływa na dzieci to, że się je traktuje jak ludzi dojrzałych, którzy sami sobie dają radę i z którymi osoby dorosłe liczą się, jak z równymi. Poza kilku przypadkami, kiedy (i to na początku działalności) trzeba było chłopców z sali usuwać — nawiasem mówiąc, chłopców bardzo bystrych, ale nie przyzwyczajonych do opanowywania swego temperamentu przez 2 godziny z rzędu, dzieci, które stale przychodziły do czytelnicy, nabierały widocznie cech ludzi uspołecznionych.

Lecz sama inicjatywa prywatna nie wystarczy, trzeba koniecznie jakiejś wydawniczej pomocy. Biblioteki dla dzieci powinny istnieć w lokalach pozaszkolnych, (choć nauczyciel powinien współdziałać z bibliotekarzem). Bibliotekarz powinien być urzędnikiem płatnym, żeby cały swój czas mógł poświęcać pracy z dziećmi, księgozbiory powinny się powiększać, powinny się tam znajdować dawne książki dzieciinne, książki — jeśli tak można powiedzieć — klasyczne, ale również i książki najnowsze. Dziecku trzeba dawać wszystko zawsze wyborowe. Ale na to trzeba pieniędzy!

Oczywiście, wzory amerykańskie mogą nam służyć tylko, jako ideał, niemal nie do osiągnięcia. Jednakże dążyć należy do tego, aby otwierać biblioteki

publiczne i przy nich biblioteki dla dzieci. Biblioteki dla dzieci stwarzać można wszędzie, gdzie jest garstka dzieci i choć jedna osoba chętna, by im książki dostarczać. Nieraz łatwiej będzie, utworzyć w pierwszej bibliotekę dla dzieci, rozbudzić zainteresowanie i miłość do książki u ogółu, i wówczas może biblioteka publiczna powstanie skutkiem istotnej potrzeby danego ośrodka kraju. Pożądane byłoby stworzenie w większych miastach księgozbiorów, które składałyby się z kilku egzemplarzy tych samych dzieł i skąd — jako z centrali — byłyby rozsyłane zbiory mniejsze do mniejszych ośrodków życia. Poto jednak, aby akcja taka miała szanse powodzenia, należałoby zainteresować instytucje samorządowe, dla dostarczenia funduszy, oraz sfery nauczycielskiej, dla pomocy technicznej i moralnej.

Helena Handelsmanówna.

L I T E R A T U R A :

- Powell S. Organisation des bibliothèques enfantines.
 Chawkina L. Dietskija biblioteki w Amerikie. „Szkoła i Żiżń”, 1916.
 Chawkina L. Niu-Yorskaja publicznaja biblioteka, Moskwa 1914.
 Zielenko W. Dietskija biblioteki, Petersburg 1917.
 Pokrowskaja A. O rabotie w dietskich i szkolnych bibliotekach, Moskwa 1918.
 Legislation belge sur les bibliothèques publiques. „Moniteur belge”,
 Van Meel. Bibliothèques publiques, Antwerpja 1924.
 Lemaitre H. La bibliothèque enfantine de la rue Boutebrie. (Revue des bibliothèques, 1925).
 Moignet. Les bibliothèques pour enfants, Bruksella.
 La Nouvelle Education, Paryż 1924, 1926.

O DWÓCH NOWYCH USTAWACH WIELKIEJ DONIOSŁOŚCI



dzienniku ustaw zostały niedawno ogłoszone dwie ustawy ogromnej wagi, ustawy, które wywrą wpływ decydujący na życie praktyczne i które dlatego zasługują na to, aby znajomość ich, choćby przybliżona, wyszła poza szeregi koła specjalistów.

Mówię o ustawach „O prawie prywatnem międzydzielnicowem” i „O prawie prywatnem międzynarodowem”¹⁾. Porządkują i normują one dziedzinę prawa, stosunkowo nową, bo rozwijającą się i zyskującą na znaczeniu dopiero w miarę zacieśniania się stosunków pomiędzy poszczególnymi organizmami państwowymi świata, są wogóle jedną z pierwszych kodyfikacji w tej dziedzinie. Zadaniem ich jest usunąć trudności, niejednokrotnie nierozwiązalne, które wynikają już to z kolizyj pomiędzy ustawami poszczególnych dzielnic Polski, — jak wiadomo, posiadamy na całym terytorjum państwa niemniej jak cztery różne systemy prawne, —

już też z kolizyj pomiędzy prawem polskiem a prawem zagranicznym. Te kolizje, zwłaszcza na tle stosunków wewnętrznych, stawiały dotychczas prawników polskich nieraz w sytuacji prawie niemożliwej do rozwiązania. Gdy ustawy, o których mowa, zaczną działać, — trudności te powinny zniknąć.

Aby dobrze zrozumieć przedmiot, musimy przede wszystkim zdać sobie sprawę z tego, że nie chodzi tu, jakby może ktoś sądził, o zmianę jakiegoś prawa obowiązującego, np. o zmodernizowanie prawa małżeńskiego. Bynajmniej. Wszystkie cztery systemy prawne, jak dotychczas istniały, tak narazie pozostają przy życiu i nadal. Te nowe ustawy nie czynią im krzywdy bezpośredniej. Określają one tylko — a mianowicie ustawa o prawie międzydzielnicowem, której mamy zamiar poświęcić główną część tych uwag, — które z praw dzielnicowych powinno być w pewnym przypadku zastosowane. Zrozumiemy to zaraz lepiej, przeszedłszy do szczegółów.

* * *

Przepisem podstawowym dla całej ustawy „o prawie prywatnem międzydzielnicowem” jest definicja miejsca zamieszkania i postanowienie o wpływie miejsca zamieszkania na prawa „osobiste”, czyli na t. zw. statut osobisty obywatela, a więc: na prawo do zawarcia małżeństwa, prawo rozwodowe, stosunki między małżonkami (osobiste i majątkowe), między

¹⁾ Dz. Ust. Nr 101 poz. 580 i 581; niezbyt może zrozumiałe dla laików tytuły główne tych ustaw brzmią: „O prawie właściwym dla stosunków prywatnych wewnętrznych” i „O prawie właściwym dla stosunków prywatnych międzynarodowych”. Niektóre z zagadnień z tej dziedziny omówiliśmy w jednym z poprzednich artykułów; zob. „Bluszcz” Nr 18 z b. r. „Węzły gordyjskie w prawie małżeńskim”.

rodzicami a dziećmi, na stosunki opieki, legitymację dzieci nieślubnych i adopcję.

Miejscem zamieszkania nazywa ustawa, w odróżnieniu od miejsca chwilowego pobytu, to miejsce, gdzie obywatel koncentruje główną część swojej działalności, gdzie mieszka z zamiarem pozostania na stałe. Np. miejscem zamieszkania urzędnika jest siedziba jego urzędu. Dotychczas każdy obywatel polski, nawet wewnątrz państwa, nietylko zagranicą, włókł za sobą, jak kulę u nogi, „statut osobisty“ tej dzielnicy, z której pochodził, gdzie miał t. zw. prawo swojczyzny lub — jak w Kongresówce — gdzie był zapisany do ksiąg ludności stałej. Mógł latami mieszkać stale w dzielnicy innej, a mimo to wciąż podlegał, w swych stosunkach osobistych, prawu dzielnicy, z której pochodził, i prawo to przenosił na swoją żonę i na dzieci. Odtąd o jego „statucie osobistym“ będzie rozstrzygało jego miejsce zamieszkania, czyli t. zw. w języku technicznym domicyl, pod jednym tylko warunkiem: domicyl ten musi być przynajmniej roczny. Kto zmienia miejsce zamieszkania, ten dopiero po roku zaczyna podlegać nowemu „statutowi osobistemu“; żona i dzieci ślubne niepełnoletnie dzielą miejsce zamieszkania męża i ojca, dzieci nieślubne — matki. Jest to zatem, jak gdyby w fizyce pole elektromagnetyczne, a ów „statut osobisty“ to niby siły w tem polu działające: kto się w niem znajdzie, nasiąka niemi, musi im ulegać.

Jaką olbrzymią doniosłość dla życia praktycznego posiada to prawidło, o tem przekonamy się, przypominając sobie pokrótce niektóre różnice, zachodzące pomiędzy ustawodawstwem poszczególnych dzielnic. Zaczniemy od zawsze najciekawszego prawa małżeńskiego. W Kongresówce prawo małżeńskie jest czystem prawem kościelnym. Tylko ślub religijny, kościelny — jest ślubem ważnym. Prawo kanoniczne określa przeszkody zawarcia małżeństwa. Rozwód między katolikami jest niedopuszczalny. — W Małopolsce reguluje te stosunki prawne — prawo cywilne, jakkolwiek prawo cywilne przejęło prawie w całości przepisy prawa kanonicznego. Są jednak pewne różnice (np. prawo cywilne nie uznaje niektórych przeszkód, znanych prawu kanonicznemu, jak powinowactwo dalszego stopnia) i z powodu tych różnic może się zdarzyć, że ksiądz odmówi ślubu. Wówczas na zasadzie stosownego zaświadczenia nowożeńcy mogą się zwrócić do burmistrza i ten udzieli im ślubu cywilnego. Ślub taki nazywa się ślubem cywilnym „ewentualnym“. W b. dzielnicy niemieckiej, pod działaniem prawa niemieckiego, małżeństwo jest już traktowane wyłącznie jako instytucja prawa cywilnego i to prawo samodzielnie reguluje warunki zawarcia i rozwiązania małżeństwa; rozwody są więc jednakowo, niezależnie od wyznania małżonków, dopuszczalne.

Otóż pomyślny, że obecnie obywatel polski po przesiedleniu się np. z dzielnicy poznańskiej do Warszawy, np. wskutek mianowania na urząd, i po przemieszkaniu tutaj przez rok, traci możność rozwiązania małżeństwa (katolickiego) przez rozwód. I naodwrot: mieszkaniiec Kongresówki, który przeniósł się na stałe do Poznańskiego, na Pomorze lub na Śląsk Górny, po roku może starać się o rozwód, który przedtem był dla niego nie do pomyślenia. Jest jednak w nowej ustawie i taki przepis: jeśliby np. w Kongresówce zażądali rozwodu małżonkowie, stale mieszkający w Poznaniu, — to go nie otrzymają. Albowiem z tego,

że ich „statut osobisty“ jest statutem poznańskim czyli niemieckim, nie wynika, aby mogli otrzymać rozwód w Kongresówce, która rozwodów małżeństw katolickich nie dopuszcza.

Podobnie rzecz się ma z zawarciem małżeństwa. Rozwiedziony prawnie katolik, mieszkający stale w Poznaniu, a więc podlegający tamecznemu prawu, nie otrzyma ślubu w Kongresówce, bo tutaj niema on prawnej zdolności do zawarcia małżeństwa, a ustawa pozwala (choć nie nakazuje!) odmówić mu w takich wypadkach ślubu.

Przyjrzyjmy się działaniu nowej ustawy w zakresie prawa majątkowego małżonków. Według Kodeksu cyw. Król. Polsk. umowy małżeńskie muszą być zawarte przed ślubem i powinny być wymienione w cywilnym akcie, spisany z okazji ślubu.

Według prawa małopolskiego umowy małżeńskie mogą być zawarte także w ciągu trwania małżeństwa, po ślubie. Zatem przesiedlenie się małżonków do Małopolski umożliwia im obecnie uregulowanie zapomocą umowy stosunków majątkowych, czemu na przeszkodzie dotychczas stało prawo Kongresówki.

Zasadniczo odmiennie unormowane są w trzech dzielnicach stosunki opieki. Według Kodeksu cyw. Król. Polsk. opieka nad dziećmi małoletnimi jest sprawą prywatną. Prawo ustala, w jakiej kolejności powołane są różne osoby do pełnienia opieki, ale żaden urząd do spraw tych z własnej inicjatywy się nie miesza i mieszać mu się do tego nie wolno.

Całkiem inaczej rzecz się ma zarówno w Poznaniu, jak w Małopolsce.

Pominąwszy różnice mniej nas chwilowo interesujące, jedno oba te ustawodawstwa mają wspólne: opieka jest zasadniczo sprawą publiczną, urzędową należy przedewszystkiem do sądu; osoby, powołane przez prawo do pełnienia opieki, władzę swoją czerpią z formalnego upoważnienia przez sąd, który ma obowiązek nad spełnianiem czynności opiekuńczych czuwać, który wykonywa nad niemi kontrolę, działa w razie potrzeby z urzędu, niezależnie od czyjejkolwiek inicjatywy.

T. zw. legitymacja dzieci nieślubnych polega na uznaniu swych dzieci „naturalnych“, spłodzonych poza małżeństwem, za własne, i na nadaniu im praw dzieci ślubnych. Dokonywują tego najczęściej i w sposób najnaturalniejszy rodzice nieślubni przez pobranie się. W Kongresówce ta legitymacja jest niestety obstawiona kilku bardzo formalistycznymi warunkami. Mianowicie prawo wymaga od rodziców, aby albo formalnym aktem uznali dziecko jeszcze przed ślubem, albo przy spisaniu aktu ślubu, albo wreszcie, aby udowodniono, że dziecko nieślubne było w ciągu małżeństwa (zatem już po pobraniu się rodziców) „w ciągłym posiadaniu stanu dzieci prawych“ (słowa ustawy). Jest to wszystko nie tak straszne, jeśli się zna prawo i pamięta o niem we właściwym momencie. Ale ludzie biedni najczęściej prawa nie znają, lub o niem nie pamiętają. Te warunki najczęściej uniemożliwiają w praktyce dziecku korzystanie z dobroczynnego faktu, że się jego rodzice pobrali.

W Małopolsce fakt ten sam przez się, na zasadzie samego prawa, pociąga za sobą legitymację dziecka nieślubnego. Teraz zrozumiemy, jak ważnem może się stać przesiedlenie się np. z Kongresówki do Małopolski.

* * *

Dotychczas obracaliśmy się wyłącznie w granicach ustawy „o prawie prywatnem międzydzielnicowem“.

Ustawa „o prawie prywatnem międzynarodowem“ nie posiada może tak powszechnego, jak tamta, w życiu codziennem, znaczenia, bo staje się aktualną dopiero dla tych stosunków, które przekroczyły granice państwa. Ale i w niej jest kilka postanowień, na które warto zwrócić uwagę.

Co do zasady, która ma rozstrzygać o „prawie właściwem“, o „statucie osobistym“ obywatela—polskiego zagranicą lub obcego w Polsce, — to jest nią tutaj t. zw. przynależność państwowa. To pojęcie spełnia tu tę funkcję, co poprzednio pojęcie „miejscza zamieszkania“. A więc, czy to Polak, znajdujący się zagranicą, czy obywatel obcy—w Polsce—podlegają oni zasadniczo w dziedzinie praw osobistych, t. j. tych, które wyżej wymieniliśmy, swemu prawu ojczystemu. Więc, nie prawu miejsca zamieszkania! Ustawa idzie jeszcze dalej i postanawia w szeregu przypadków, że nie tylko ma być zastosowane prawo ojczyste, ale wogóle władze obcego państwa nie powinny się temi stosunkami obywatela państwa innego zajmować, powinny je pozostawić władzom krajowym. W zastosowaniu do spraw małżeńskich wygląda to tak, że np. małżonkowie-francuzi, znajdujący się w Polsce nie tylko zależą, co do dopuszczalności rozwodu, od prawa francuskiego, ale, gdyby tutaj podali prośbę o rozwód, władze polskie odeślą ich do władz francuskich, nie zechcą się wcale taką sprawą zajmować. Naodwrot: Polacy zagranicą muszą się stosować do prawa rozwodowego polskiego i powinni wogóle proces rozwodowy prowadzić w Polsce. Ale tu ustawa wprowadza niezmiernie ważne dla obywateli polskich odstępstwo od zasady. Mianowicie pozwala im wszcząć proces rozwodowy także przed władzami państwa, w którym stale mieszkają.

Jest to wyłom w prawach dotychczasowych, postanowienie nowe i ogromnie dogodnie dla osób, stale i oddawna mieszkających zagranicą. Jest jednakże zastrzeżenie, ograniczające znacznie korzyść stąd płynącą. Jeśliby bowiem owe władze obce, rozstrzygające sprawę rozwodową obywateli polskich, nie zastosowały prawa polskiego, nie kierowały się wszystkimi warunkami, od których prawo polskie uza-

leżnia rozwód, a więc: jeśliby np. nie odrzuciły prośby, gdy prawo polskie rozwodu nie dopuszcza,—wówczas orzeczenie zagraniczne nie byłoby w Polsce uznane, nie wywołałoby w Polsce żadnych skutków prawnych.

Jeszcze w jednej dziedzinie ustawa „o prawie prywatnem międzynarodowem“ wprowadza przepis niesłychanie ważny, taki, który od razu niezmierną przyniesie ulgę. Chodzi o adopcję, t. j. o stosunki, związane z przybraniem cudzego dziecka za własne. Prawo polskie, tak w Kongresówce, jak w Małopolsce jest w tej materji przestarzałe i zacofane; uzależnia ono adopcję od tylu i tak trudnych warunków, że czyni ją najczęściej w praktyce niemożliwą. Domaga się np., aby adoptujący miał więcej niż 50 lat, aby był przynajmniej o 15 lat starszy od osoby, którą chce adoptować, aby, jeśli adoptują małżonkowie, nie mieli dzieci własnych. Tymczasem w życiu zdarzają się takie sytuacje:

Wyjeżdża na robotę do Danji młoda dziewczyna z Kongresówki i tam wydaje na świat dziecko nieślubne. Ojciec, jak to często bywa, nieznanym lub znanym, ale biednym, pozostał w Polsce; na ojca niema co liczyć. Matka sama utrzymuje się z trudem. Szczęściem dla niej i dla dziecka bierze je na utrzymanie małżeństwo duńskie, ludzie dobrzy i uczciwi, i materialnie mający się nieźle. Poczciwi Duńczycy, jakkolwiek mają jedno dziecko własne, po kilku latach tak się przywiązali do przybranego, że chcą je adoptować. Matka zgadza się z wdzięcznością, zwłaszcza, że tymczasem sama wyszła za Duńczyka. Władze duńskie, zbadawszy wszystko z największą sumiennością, chcą zezwolić na adopcję, ale w myśl obowiązującego prawa muszą się najpierw upewnić, że nie ma nic przeciw temu prawo polskie.

Cóż — kiedy nasi Duńczycy -rodzice nie ukończyli jeszcze lat 50 i mają już jedno dziecko własne! Tu dopiero położenie staje się absurdalne... Prawo (polskie), martwy przepis, który życie już dawno wyprzedziło, staje w poprzek dobru i interesowi wszystkich ale to wszystkich bez wyjątku osób zainteresowanych.

Takim oto nonsensem kładzie koniec nowa ustawa, która przepisuje, że odtąd o adopcji będzie rozstrzygało prawo adoptującego. A więc, w naszym przykładzie, duńskie.

Prawnik.



POLKI NA OBCYZYŃNIE

EMILJA KORZENIOWSKA

Do spraw, zaniedbanych w publicystyce naszej, należy skrupulatne notowanie pracy rodaków w obcych krajach. Czasami, przygodnie, w rubryce „Ze świata“ padnie jakaś wzmianka o zasłużonym polaku lub polce, którzy, znalazłszy się w nieznanym sobie otoczeniu miejscowego społeczeństwa, przynoszą chlubę środowisku, z którego wyszli. Dochodzą do kraju tylko nazwiska najwybitniejszych działaczy. Wiemy o Władysławie Mickiewiczu, który w ciągu lat kilkudziesięciu był jakby olbrzymim zbiornikiem życia polskiego we Francji, a prawie nieznanym jest nam brat jego, mistyk-filantrop, który — zajmując jakieś skromne stanowisko w jednym z urzędów paryskich, cały swój zarobek oddawał biednym, uwzględ-

nając możliwie potrzeby rodaków. Skreślił obszerną sylwetkę jego kiedyś, w którymś z pism codziennych senator Posner, wzruszywszy nią do głębi serca czytelników. Cicho pozatem o wielkiem sercu prawie anachorety, który — w zatraceniu siebie — promieniował ze swego poddasza ekstazą wszechludzkiej miłości i najszlachetniejszych altruistycznych porywów.

Przygodnie dowiadujemy się o zmarłej niedawno siostrze zakonnej Kolumbie, Polce. Świeckie nazwisko — Janina Gabryel. Osiedlony przed 20 laty w Rzymie, założyła tam „Dom rodzinny dla urzędniczek i robotnic“. Instytucja, zrazu niewielka, stworzona drobnymi środkami, rozrosła się dziś potężnie i zdobyła dla nieboszczki głębokie uznanie zarówno miejscowych ro-

daków, jak nawet Watykanu i władz rządowych włoskich. W pogrzebie wzięli udział przedstawiciele wysokich sfer duchowieństwa, dyplomacji i wszystkich warstw społecznych.

Nie skrzepła jeszcze, nie skrzystalizowała się w ostateczne formy działalność polek, zagnanych w obce światy przed wojną. Odczyty o Polsce wygłasza w Genewie dla cudzoziemców świetna mówczyni i gorąca patrijotka, p. Anna Leo-Rose. Opiekuje się rodakami i pracuje dla spraw Polski p. Marja Sokalowa. Mamy wiele rodaczek, które jeszcze nie dały znać o sobie.

Bawiła niedawno w Warszawie nauczycielka z ogniska robotników polskich w Lille, p. Marja Golczyńska. Przyjechała po kweście. Chodzi o książki polskie, podręczniki, pomoce szkolne dla uczelni naszych we Francji, które prowadzą żywot suchotniczy i zamrą, jeżeli nie wesprze ich społeczeństwo polskie.

Kto widział p. Golczyńską — a poznały ją wszystkie stowarzyszenia kobiece i wszystkie organizacje, związane z oświatą, bo do wszystkich wrót kołatała, — ten zda sobie sprawę z ofiarności naszych rodaczek na obczyźnie. Zakaszłana, chora, zgorączkowana, rozpoczynała bieżanie swoją wczesnym rankiem, kończyła ciemnym wieczorem. Jakikolwiek dano jej adres, każdy spożytkowała. Wszędzie była. W napadach kaszlu, schrypnięta, przedstawiała palącą nagłość sprawy. Orędowna. Wyjaśniała. — Co jej przyniosły te zabiegi serdeczne? — Nie wiem. Taki gorący prozelityzm nie ginie jednak bez śladu. Porywa najoporniejszych i żłobi swoje koleiny.

* * *

Od Paryża do Warszawy blisko. Jednak i stamtąd tylko przypadkiem dochodzą echa spóźnione.

Przysłana przez Koło Polek, wpadła kiedyś do mnie młoda malarka, p. Janina Jankowska, która czas jakiś bawiła na studiach w którejś z akademii paryskich. Przyniosła notatkę z prośbą o zamieszczenie jej w „Bluszczu“. Tak serdecznie przytem, tak gorąco przemawiała za sprawą, że najobojętniejszych nawet musiałaby przekonać.

Notatka dotyczyła pani Emilji Korzeniowskiej, zamieszkałej w Paryżu od lat 50 przeszło.

— Znam tę staruszkę. Słyszałam ją tysiące razy przemawiającą w sprawach Polski. Umiała odeprzeć nawet takie twarde zarzuty, jak grasujący rok temu bandytyzm polski we Francji, który rozciągano na ogół zdemoralizowanej robotniczej naszej młodzieży. Tłumaczyła, argumentowała, przytaczała setki przykładów z dziedziny najszlachetniejszych poczynań naszego ludu roboczego, aż wreszcie najpodejrzliwsi uwierzyli, że drapieżność, chciwość, łupiestwo nie leży w polskim charakterze, lecz jest wynikiem powojennego rozpętania wśród pewnych mętów społecznych, które są wszędzie, a które w danym razie, na nieszczęście, przedostały się od nas poza granice kraju własnego.

Takich przykładów obrony honoru Polski w każdej sprawie i przy każdej sposobności przytoczyła p. Jankowska mnóstwo. Ale nie to jest najważniejszą zasługą staruszki.

W maleńkim jej mieszkaniu przy ul. Porte Royale 91 gromadzą się nieustające zastępy biednych rodaków, prosząc o pomoc, pracę, opiekę, wskazówki. Nie odmawia nikomu. Biegnie z krańca na kraniec Paryża, kołacząc do dyrekcji fabryk, wystaje po urzę-

dach, czyni wprost nadludzkie wysiłki, by dopomóc każdemu.

— Nie mają liczby i miary jej poświęcenia dla sierot po żołnierzach polskich, dla robotników i wszystkich, potrzebujących opieki. Drzwi się nie zamykają — mówi p. Jankowska.

Francja oceniła jej czyny. Jakkolwiek cudzoziemka, otrzymała p. Korzeniowska w 1895 r. podczas Międzynarodowego Kongresu więziennictwa medal od prezydenta Faure'a za pracę nad dziećmi więźniów.

A co dała jej Polska?

W 1909 r. złożyła 9,000 koron oszczędności całego życia w Banku Krajowym Królestwa Galicji i Lodomerji na książeczkę Nr. 26,892. W 1920 r. wyliczono jej 754 marki, a obecnie już tylko parę groszy.

— Czy to ma być z naszej strony jedyną nagrodą dla tej przeznaczonej kobiety? — pyta p. Jankowska. — Czy społeczeństwo, które tak hojnie obdarza sportowców różnego typu i znajduje zawsze grosz na nadspodziewane wydatki, nie pomyśli o tej sędziwej filantropce, której siły mogą wyczerpać się wkrótce?

P. Korzeniowska ma obecnie lat 76. Sierota zupełna, była wychowana przez obcych ludzi w surowej karność, co wyrobiło w niej mocny, nieugięty charakter. Do Francji wyjechała, mając lat 25. Wyszła za mąż w Paryżu i owdowiała wkrótce, straciwszy prócz męża jedynego synka maleńkiego. Została więc sama na świecie. Ale serdeczne ukochanie bliźnich i gorący patriotyzm uchroniły ją od szału rozpacz. Znalazła cel. Przed wojną dom jej zastępował konsulat polski. W oblężeniu od rana do wieczora. Wszystko oddawała, co miała. Szyła dla biednych. Dawała własną bieliznę na bandaż dla chorych, jak później w czasie wojny — dla rannych. Robiła lalki dla pracowni p. Łazarskiej. Ale cały zarobek dzieliła między nędzę polską. Była czynna zawsze w różnych instytucjach dobroczynnych, otaczając szczególną opieką dzieci polskie. Zna ją cała kolonia rodaków z rodziną Mickiewicza na czele. Mimo długoletniego pobytu wśród obcych, nie zatraciła akcentu polskiego. Mówi, jak gdyby wczoraj dopiero przybyła z kraju. Bywa też w licznych sferach towarzystwa francuskiego, gdzie zawsze, przy każdej sposobności, porusza sprawy polskie z właściwym sobie namiętnym prozelityzmem. A mówi potocznie, pięknie, ze swadą.

Maleńka, drobna, bardzo ruchliwa i zwinna, wygląda dziś jeszcze zdaleka, jak dziewczyneczka, której zawsze pilno. Wiecznie się śpieszy. Wiecznie o coś zabiega. Ze swoim medalem — uznana przez rząd francuski społecznicą — wstęp ma do wszystkich prywatnych i publicznych urzędów. Wszędzie liczą się z nią i oddają jej należne honory.

Działalność staruszki w tej chwili obejmuje poważnie opiekę nad polską młodzieżą szkolną, nad robotnikami i ich dziećmi.

Idzie — naprzód z żywymi. Nie ustaje, nie odpoczywa, nie zastyga pod naporem lat. Staroświeckie mebelki w małym jej mieszkanku, i pełno pamiątek po ukochanych zmarłych, którym serce graży coraz więcej mogił. Ale dusza zawsze młoda, zawsze zapala i wiary w dobre jutro pełna. Nigdy nie poddająca się zwątpieniu i o powodzeniu każdej podjętej sprawy przekonana.

To daje wiecznie krzepką młodość. To, jak dobroczynny olej w kaganku, podtrzymuje i syci nierzeczy wszystkich poczynań.

C. Wal.

I Z O L A.

SMUTKI MIŁOSNE

I.

Zdradziły nas dzisiaj oczy, zdradziły skrzydlate słowa
 Radością błysły źrenice, radością zabrzmiała mowa.
 Stóp naszych ciche szelesty serca pieściły nam skrycie,
 I zeszła Pani Słoneczna w to nasze spokojne życie.

O Najjaśniejsza Miłości, dobra i hojna bez miary,
 Jaką Cię uczcić podzięką, jakie Ci złożyć ofiary?
 Za szczęścia tchnienie wiosenne łamie nas boleść i trwoga.
 O Najsmutniejsza Miłości, władczyni Ty nasza sroga!

II.

Nie mamy własnego domu, nie mamy własnej zagrody.
 Ognia wzbroniono nam srodze, okrutnie wzbroniono nam wody.

Nie dano nam łamać się chlebem przy cichym, rodzinnym stole.
 Las nas odepchnął od siebie, precz odrzuciło nas pole.

Niema dla naszej miłości miejsca w bezmiarach wszechświata
 Dola nieszczęсна nas dzieli, jak pył przydrożny rozmiata.

Kruszyny czasu nie mamy: i dnie i noce nie nasze.
 Żeby choć jeden dzień własny, jedno niziutkie poddasze!

III.

W kościółku mojej miłości dla Ciebie ogień płonie,
 I nocą i dniem i nocą ku Twojej chyli się stronie—
 Kadzidło mego zachwyty mrok wkoło snuje wonny,
 Błyszczą najdroższe dary jak przed obliczem Madonny.

Goreje mój wierny smutek blaskiem szczerego złota.
 Żal mieni się jak diamenty, perłami lśni tęsknota.
 Nabożna jest miłość moja w najczystszej wzrosła męce,
 Pokornym płaczem się ściele, do modłów składa ręce.

IV.

Zgubiłam dzień i noc zgubiłam całą.
 Niebo jarzyło się i wnet ciemniało.

Mijałam świt i zmierzch o tobie śnięca.
 Patrzyłam w słońca twarz i w twarz miesiąca.

Światła niebieskie wciąż w oczach mi stoją.
 W mroku oglądam świat i przyszłość moją.

V.

Chyżo mkną drogi, szarzeją śród pól,
 Lśnią stałą, żłobią fale morza.
 Lecą, gdzie młoda płonie zorza.
 Błąka się po nich mój serdeczny ból.

Wśród wszystkich ziemi, wszystkich nieba dróg
 Próżno zgubione śledzę szlaki.
 Trud wciąż jednak, ból jednak.
 Skrył się przede mną domu twego próg.

VI.

Wyparłam się mego kochania,
 Wyrwałam je z serca przemocą,
 I życie ucieka ode mnie, bezsenną ucieka nocą.

Nie grzeje mnie gorzkich łez ciepło, gorącość krwi nie ochrania.
 Krew zmarzła, wstrzymała się w biegu, łez duma oczom zabrania.

Nie tęsknię, nie wołam, nie płaczę,
 Dławiącej poddana udęce.
 Jak grudy lodowe opadły znekane, bezsilne ręce.
 W letargu tym serce zamiera, bo ciebie już nie zobaczę.
 Wraz umrą najśodsze radości, umrą najsrozsze rozpaczę.



PAOLO MANTEGAZZA

15

JEDEN DZIEŃ NA MADERZE

Londyn, 14 sierpnia 18...

Williamie, czuję, że umieram. Nie powiedziałam nic ani pocziwej ciotce Annie, ani lekarzowi, bo wiem, że wszystko to daremne. Łagodny klimat Madery przyślonił ranę moją lekką gazą, lecz mgły Londynu rozkrwawiły ją jeszcze okrutniej, niż przedtem. Nie mogę już dłużej żyć, i tylko boleję nad tem, że umrę nie zobaczywszy cię. Spoglądam na twój portret każdej godziny, chwili każdej, spoglądam z taką tęsknotą, że — zdaje mi się — chcesz mi odpowiedzieć i przybyć, by mnie pożegnać po raz ostatni. — Lecz ty nie umrzesz. — A potem trwoży mnie myśl o śmierci nieoczekiwanej. Czuję w piersi ogień płonący, wydaje mi się, że lada chwila coś tam w niej wybuchnie.

To wszystko nic, mój Williamie, umierają wszyscy: śmierć musi być sprawą bardzo łatwą. Czuję w sobie radość nieziemską i płynącą z niej odwagę, i dumę, że żyłam, i szczęście, że cię znałam i kochałam, i żeś ty tak bardzo mnie kochał!

Jakże jesteśmy egoistyczni: oto umieram a raduję się, jak dziecko, szczęśliwa pewnością, że nie będziesz należał do innej kobiety, że byłeś i będziesz tylko mój. Zbyt mnie kochałeś! Zbyt wielki skarb wspomnień ci zostawiam, zbyt wspaniałe dziedzictwo uczuć, byś mógł należeć do innej. I myśl ta wprawia mnie w radosny szal. Muszę przycisnąć oburącz tę biedną pierś, bo serce bije mi tak mocno, iż, zda się, chce wyskoczyć. Moja wiara w twą miłość tak jest mocna, jak wiara w Boga.

Ach, ojciec mój, obowiązek swój wypełniłam. Jutro udam się na twoją mogiłę, aby ci szepnąć do ucha, że Emma dotrzymała swego słowa, i stała się godną ciebie. Ty, mój ojciec, nie jesteś winien: dając mi życie, tyś nie wiedział, że jesteś chory.

Widzisz, Williamie, miałam słuszość, opierając się twojej miłości, sprzeciwiając się twoim nadziejom. Klimat Madery zbliźnił moją ranę, lecz jej nie uleczył. Wieczny wyrzut byłby zatruł nasz związek, nie mogłabym już myśleć o ojcu — to byłoby piekło.

Lecz ty żyć musisz, mój Williamie, musisz mi to przysiąc. Tu, u dołu tej karty, na której po raz ostatni opierała się blada ręka twojej Emmy, masz wypisać swą przysięgę. Przysięgniesz mi na stokrotkę, owo pierwsze kwiecie, któreś zerwał dla mnie w parku w Bath, gdyś mi wyznał, bez słów, swoją miłość. Przysięgniesz na ów promień włosów, na których w porwywie uczucia złożyłeś niegdyś pocałunek. Takie są pamiątki po twojej Emmie. Gdy nadejdzie twój ostatni dzień, każ pochować je obok siebie i zachowaj je, aż połączymy się kiedyś tam, w niebie.

Williamie, masz nie tylko żyć, masz wypełnić swe życie dziełami odwagi i mocy. Wspniały twój umysł wszędzie zdoła znaleźć pole do pracy. W nauce, w podróżach nowych i niebezpiecznych, w wirze polityki możesz, powinienes być wielki i pożyteczny.

Wypełnij to wszystko, czego ja nie mogłam uczynić, czego nie udało się dokonać nam obojgu. I wiem, że niepróżno żyłam, bowiem pamięć o mnie będzie ci towarzyszyła w walkach, w wysiłkach i zmaganiach. Umieram dumna, że natchnęłam cię do wzniosłości, do czynów pożytecznych i wielkich.

Gdy w ciszy
pracowni umysł
twój zrodzi myś-
li podniosłe,

które uczą ludzi, jak być szlachetnymi, wspomnij, że cień twojej Emmy jest blisko ciebie, że, splótnszy swe blade dłonie, spogląda na cię, i błogosławi błyskawicom twego ducha.

Gdy pośród walki namiętności politycznych będziesz walczył za wolność, gdy w wirze spraw zabłyszczą oczy twe zwycięsko i dumnie, pamiętaj, że w tłumie kryje się cień Emmy, która dzieli radość twych triumfów i płacze ze szczęścia, że pokochał ją mąż wielki, wspaniałomyślny i szlachetny.

A udając się do chaty biedaka, aby otrzeć jego łzy, i studując ponure problemy nędzy i bólu, nie zapominaj, że ja widzę cię i słyszę, że wraz z tobą cieszę się i boleję.

Kiedy zaś ogarnie cię zachwyt w obliczu przyrody, którą tylekroć czciliśmy wspólnie, jak dwoje wiernych kapłanów piękna — i w lazurze pogodnych niebios, i w smętnej poświęcie księżycowej, i w mistycznej ciszy gajów, i pośród wonnych traw łąkowych, i w błękitnej fali jeziora, i w ryku morza, pamiętaj, że i ja z tobą, ukryta, lecz drżąca z miłości, bezgłośnie, lecz cała wibrująca i szczęśliwa, że mogę towarzyszyć ci wszędzie, żyć twemi nadziejami i w twojej pamięci.

Poświęć mi każdy swój czyn szlachetny, każdy zamiar podniosły i poryw wspaniałomyślny, a Emma dumna będzie z ciebie, ze wszystkiego, co czyni cię wielkim. Ona czeka na ciebie, o tak, czeka, pewna, że przycisnie cię do serca w uścisku wiecznym, bez trosk i bez wyrzutów, spragniona pragnieniem, które trwało wieki nieskończone, lecz które, nieskończoność zaspokoi.

Emma twoja odchodzi i czekać będzie tam, dokąd i ty przybędziesz.

Żegnaj. Żyj i bądź wielki, bądź pożyteczny. Żyj i nie daj cierpieć jakiegokolwiek istotcie. I kochaj mnie, jak ja będę kochała cię wiecznie.

Pismem konwulsyjnym i drżącym widniały skreślone u dołu stronicy następujące słowa:
Przysięgam ci, Emmo, że będę żył.

Przysięgam, że będę pożytecznym człowiekiem, na naszą miłość przysięgam.

William

Quito, 27 października.

Po otrzymaniu tych pamiątek po Emmie i Williamie, oczekiwałem zbożnie i w skupieniu, że jakiś list powiadomi mnie o mym nieszczęśliwym przyjacielu — oczekiwałem daremnie.

Dziesięć lat minęło, i wolno mi już ogłosić ni-niejsze pełne żaru stronicę dwójga z pośród najszlachetniejszych istot, jakie kiedykolwiek znałem.

Mimo to pisałem kilkakrotnie do Anglii, do Williama i do ciotki Anny, lecz nie otrzymałem jakiegokolwiek odpowiedzi.

I aż do ostatniej chwili, spodziewając się jakiejś wiadomości od przyjaciela, myślałem o ogłoszeniu kartek, jakie mi przysłał.

Jestem głęboko przekonany, że lektura ich nie zaszkodzi nikomu, niejednemu przyniesie korzyść.

KONIEC.

ANNIE VIVANTI

SZKOŁA SZCZĘŚCIA



Los drzemał, znużony trudami dnia, pełnego zajęć. Zmienił dzieje dwudziestu siedmiu narodów, cisnął w otwartą pa-szczę śmierci parę milionów ludzi i tyleż wprowadził na świat; złamał wiele serc czułych i wiele serc że-laznych; uczynił wielu ludzi miljonerami i wielu żebrakami; rozrzucił na całej kuli ziemskiej radości i smutki. Teraz czuł się w prawie do odpoczynku.

Lecz zaledwie się zdrzemnął, usłyszał, iż wołają nań wielkim głosem, i mruczając, jak stary zdziecin-niały doktor, podniósł się, nałożył pantofle i wychylił się, by zobaczyć, kto go woła.

Był tu cały tłum — połowa świata. Los, wzdy-chając i sapiąc, udał się w drogę, nakładając na nos ciemne okulary i biorąc do kieszeni zapas odwiecz-nych leków

Pierwszą wizytę złożył pewnej kobiecie, która płakała; głos jej był bardziej donośny, niż wszystkie inne.

— Czego chcesz? — zapytał Los.

— Mego syna!.. Uczyni, aby wrócił. Uczyni, aby ożył!.. Zwróć mi go, a nigdy już nic nie zażadam od ciebie.

— Dobrze — rzekł Los, usuwając się na progu, by przepuścić młodego żołnierza, i odszedł, pochy-lając głowę pod lawiną błogosławieństw.

Drugą wizytę złożył pewnej młodej dziewczynie.

— Daj mi za męża Jurka — zawołała, czepiając się podartego płaszcza Losu. — Umrę, jeżeli nie wyjdę za niego...

— Weź sobie twego Jurka i nie nudź mnie więcej.

— Nigdy, nigdy! Przysięgam ci. Nigdy nie za-żadam od ciebie czegoś innego.

...Następowały potem kobiety bezdzietne, pra-gnące mieć dzieci: kobiety ciężarne, nie chcące po-tomstwa; chorzy, którzy pragnęli wyzdrowieć; biedni, łaknący dobrobytu, poeci, żądni sławy... I wszyscy przysięgali, że nie chcą nic innego i że, w razie speł-nienia ich życzeń, nie zażądają już nigdy innej łaski.

I Los ziścił ich pragnienia.

Lecz ledwo powrócił do domu — nie upłynął dla śmiertelników nawet rok, a dla Losu — godzina — gdy oto już ci wszyscy, którym pomógł, dobijali się do jego drzwi, wołając nań wielkim głosem.

— Co wam się wszystkim stało? — zapytał Los — czy nie przyrzekaliście?..

— Tak — wrzasnęła stara kobieta — ale syn mój chce mi sprowadzić do domu żonę bez serca i bez posagu.

A młoda płakała: — Jurek mnie zdradza...

Kobiety, które chciały mieć dzieci, były pełne strachu i złych przeczuć; a kobiety, które pozostały bezpłodne, odczuwały teraz żal i skrucę; chorzy, którzy ozdrowieli, pragnęli teraz miłości; a poeci, którzy zdobyli sławę, chcieli mieć także i pieniądze...

Los jednak krzyknął: — Dość tego! Przyrzeka-liście, że nie zażądacie już nic więcej, i nic już wam nie dam.

Zamknął okno i poszedł spać.

Morał: Należy unikać dawania przyrzeczeń Lo-sowi, gdyż nie zdarza się nigdy, aby po otrzymaniu ednej rzeczy, nie zapragnęło się jakiejś innej.

Albo — morał inny — Jeżeli otrzymaliście jedną łaskę, bądźcie zadowoleni z niej i postarajcie się ko-rzystać z niej jak najdłużej, gdyż nie zawsze zostanie wam udzielona druga.

Myslałam o tem w wieczór Sylwestrowy, wiążąc wspomnienia przeszłości i nadzieje na przyszłość, jak bukiet kwiatów, by ofiarować go Losom u progu Nowego Roku.

Z pośród różnych wspomnień, jedno szczególnie wspomnienie z mego odległego dzieciństwa było jasne i żywe.

Była nas gromadka dzieci w ogrodzie w Park House w Norwood; każde z nas mówiło, czemu by chciało zostać, kiedy dorośnie.

— Ja będę malarzem — powiedział Arnold, naj-starszy z nas siedmiorga.

— A ja — kawalerzystą — oznajmił Ferruccio.

— Ja będę gołębiarzem — rzekł Anzelm.

— Ja stanę na czele plemienia czerwonoskó-rych — rzekła Ewa, dziewczynka dzika i pełna fan-tazji. I zwracając się do mnie, najmłodszej i milczącej:

— A ty, Annie, czym chcesz być?

— Szczęśliwą — odpowiedziałam.

Wszyscy zamilkli na chwilę, rozmyślając. Potem przyszedł kawalerzysta rzekł: — Jaka niemądra! Szczę-ście nie jest... zawodem.

A wtedy ja, urażona, oznajmiłam natychmiast, że chcę być właścicielką cukierni, i to mnie zreha-bilitowało w oczach mego rodzeństwa.

Lecz później nieco zapytałam Anzelma:

— Co to jest „zawód“?

— „Zawód“... — tłumaczył — to to, czego się uczy-my, aby być tem później.

Samej sobie postawiłam pytanie: A czy nie można się nauczyć, jak być szczęśliwym?

* * *

Dziś bardziej, niż kiedykolwiek, jestem przeko-nana, że można. Nawet jestem zdania, że należałoby utworzyć specjalną szkołę, by uczyć ludzi — a na-dewszystko kobiety — jak należy postępować, by być szczęśliwym.

Wszyscy zgadzamy się na to, że życie, dzień, godzina, w których nie było się szczęśliwym (lub to, co jest synonimem: w których nie uczyniło się in-nych szczęśliwymi), są straconymi — godziną, dniem, zyciem.

Ale szczęście nie jest sprawą prostą i elemen-tarną. Szczęście jest sztuką trudną i skomplikowaną; aby je osiąść, należy mieć specjalne wychowanie; by je ocenić, należy mieć dużą kulturę, doświadczenie i wyrafinowanie.



Naturalnie, że pojęcie szczęścia jest bardzo różnorodne dla różnych osób i temperamentów. To, co mnie uszczęśliwia, na przykład, pozostawiłoby kompletnie obojętną mą przyjaciółkę Dorę; podczas gdy to, co uszczęśliwia Dorę...

I tu otwieram nawias. Szczęście Dory jest rzeczą tak dziwną, że muszę o niem opowiedzieć.

Przyszła ona do mnie wczoraj, promieniejąca, odmieniona. Zanim się ze mną przywitała, pobiegła do lustra i popatrzyła na siebie długo, robiąc różne miny ustami i poruszając głową w górę i w dół, jak jakiś chiński, nieco za tęgi, bożek.

— Co ci jest? zapytałam zdumiona.

— Widzisz we mnie kobietę szczęśliwą — odpowiedziała.

— Ale co się stało? Rozwiodłaś się? Twoja córka wychodzi za mąż?

— Co znowu! — wykrzyknęła. Wyobraź sobie, że znalazłam sposób na unicestwienie podwójnego podbródka. Pewna amerykanka nauczyła mnie tego. Jest to metoda cudowna i najprostrza w świecie... Trzy razy dziennie stajesz prosto i przechylasz głowę w tył, wysilając wszystkie mięśnie; potem obracasz głowę powoli od prawej strony do lewej i z powrotem, sześćdziesiąt cztery razy. Potem osiemdziesiąt razy mocno szczypiesz skórę na podbródku, a po umyciu się w lodowo zimnej wodzie, zawierającej dwadzieścia pięć kropel benzoesu, nacierasz skórę kremem hazelinowym; następnie uderzasz szyję końcami palców, wymawiając dwanaście razy głoskę a, ale tylko w gardle, nie głośno, potem...

— Stop! — krzyknęłam — powiesz mi resztę innego dnia.

— Amerykanka zapewnia mnie — rzekła Dora, a twarz jej promieniała cichem zadowoleniem — że przy tym systemie, po sześciu miesiącach głowa moja będzie wsparta na doskonałej kolumnie z alabastru.

Zaśmiałam się. Ale ona ciągnęła z powagą:

— Zaręczam ci, że ta pewnoś wniosła do mego życia nowe uczucie szczęścia. Ten podwójny podbródek zatruwał mi egzystencję.

— Ale powiedz mi — zauważyłam — czy przez te dziesięć, czy dwa...

— Nie rób rachunków — przerwała.

— Właśnie, czy w tym czasie, kiedy nie miałaś podwójnego podbródka, byłaś zawsze szczęśliwa?

— Ależ nie: nie myślałam tylko o tem — odrzekła.

Oto, oto błąd! Tu jest! Nie myśli się o tem. W mojej Szkole Szczęścia będzie się uczyć myśleć, tak, myśleć o tem, co się ma dobrego, o tem wszystkim nieprzyjemnym, co mogłoby się nam zdarzyć, i uczyć się będzie, że należy się cieszyć tym kontrastem.

Lecz Dora mówiła dalej: — Kiedy myślę o tem, że mając dwadzieścia osiem czy dziewięć lat, byłam tak szczupła i zgrabna... — Przerwała sobie westchnieniem. — Jak to nieprzyjemnie konstatować co rano przed lustrem, że się ma o te dziesięć lat więcej...

— A ja codzień stwierdzam, że mam o dziesięć mniej! — zawołałam wesoło. — Idę do lustra i mówię sobie: — Cóż za radość być taką, jaką jestem dzisiaj! Za dziesięć lat będę miała o dziesięć lat więcej.

Ale nie mam ich jeszcze.

— Tak — odpowiedziała Dora — ale za dziesięć lat...

— Za dziesięć lat będę mogła powiedzieć to samo.

Dora spogląda na mnie, zamysłona. — To jest myśl — rzecze.

— Widzisz, wszystko zależy od naszego zapatrywania się na rzeczy. Sprobuj — ciągnę, czując się tak mądra, jak mag Alferybeusz, — patrzeć na życie zawsze z punktu widzenia wdzięczności i radości. Otwórz oczy rano i powiedz sobie: „Cóż to za radość otworzyć oczy... Są tacy, którzy ich już nie otwierają”. Wstań, przejdź przez pokój i otwórz okno: „Cóż to za szczęście móc powitać, stojąc, nowy dzień!... Słuchaj, jeżeli jesteś na wsi, głosu ptaków; wysłuchaj, jeżeli jesteś w mieście, trzepania dywanów na podwórzu, myśląc z rozkoszą: „Cóż to za niezwykły przywilej słuchać tych dźwięków! Są tacy, co żyją w wiecznym — strasznie milczeniu!” I tak dalej w stosunku do wszystkiego, co się robi. Wierz mi, jeżeli niema prawdziwej i poważnej przyczyny do zmartwienia, to przestępstwem jest niezadowolenie, a zbrodnią zły humor...

Dziwnem jest, że zawsze jesteśmy skłonni myśleć... o innych, iż są szczęśliwi.

Dla dzieci szczęśliwymi są dorośli. Dla dorosłych szczęśliwymi są dzieci. To ostatnie twierdzenie, tak jednak powszechne, jest równie fałszywe, jak pierwsze. Dzieci nie są szczęśliwe, gdyż nie umieją niemi być. A pierwszym warunkiem szczęścia jest świadomość.

A więc w mojej Szkole Szczęścia zrobi się spis wszystkich rzeczy dobrych, pięknych — a nawet tylko normalnych — które się posiada.

Uczyć się będzie dzieci, że sam fakt posiadania dwojga oczu, które widzą, dwojga uszu, które słyszą, pary nóg, które chodzą, jest już prawdziwym źródłem szczęścia. Nauczyłyby się cieszyć wszystkim:

— Jest słońce — coś za radość! Pada deszcz — jak pięknie! Wyje wiatr — jak wesoło! Jest gorąco — jak miło! Jest zimno — coś za przyjemność!

Na moich kursach dla dorosłych byłyby inne ćwiczenia: Jestem zakochana — coś za rozkosz! Nie jestem zakochana — jaki spokój! Dużo ludzi jest wokół mnie — jaka rozrywka! Jestem sama — coś za cisza! Jestem młoda — coś za radość! Jestem stara — jakiś odpoczynek!... I tak dalej!

Wszyscy uczniowie kursów — tak dorośli, jak i malcy, będą musieli powtarzać sobie i innym, co godzinę, co dzień: — Jestem szczęśliwy! — Tak tylko nauczą się niemi być, i tylko umiając, będą niemi na prawdę.

Możnaby powiedzieć, że jest to rodzaj szczęśliwości... wymuszonej. Ale nic tak dobrze nie robi, jak przyzwyczajenie. I tak, jak się należy ćwiczyć w sportach, w obcych językach, tak samo należałoby ćwiczyć się we wdzięczności i weselu, i utworzyć sobie cenne przyzwyczajenie: przyzwyczajenie do szczęścia.

Szkoła dzielić się będzie na specjalne kursy: Wykłady, na przykład, o „Szczęściu w miłości” cieszyłyby się bezwątpienia bardzo dużym uznaniem i frekwencją.

Wykładam Dorze te teorie, a ona słucha ich z sceptycznym uśmiechem. Ale przy ostatnim punkcie przerywa mi:



— Wierzysz w rzeczy bezsensowne — mówi — Wszyscy wiedzą o tem, że miłość jest synonimem cierpienia.

— Kto nie kocha—głoszę—nie może być szczęśliwy.

— A kto kocha — odpowiada Dora — może być tylko nieszczęśliwy.

Nie daję jednak za wygraną.—Wykłady o „Szczęściu w Miłości“ będą najtrudniejsze — ciągnę niewzruszona—ale będą należeć do najbardziej potrzebnych. Uczennice tego kursu będą się dzielić na dwie kategorie: Kochanych i Kochających. Większość kobiet należy bezwątpienia do tej ostatniej kategorii; ale są również kobiety, które przypadkowo, lub z powodu swych wewnętrznych właściwości należą do pierwszej.

— To prawda — rzekła Dora z westchnieniem.

— Dziwnem jest jednak, że wszystkie „Kochające“ wołałyby należeć do kategorii „Kochanych“... lecz nie mają słuszności.

— Nie mają słuszności? — woła Dora. — Dlaczego?

— Moja droga, szczęście kobiety kochanej jest bardziej iluzoryczne, niż kochającej. Czyż nie jest od swego modelu szczęśliwszym artysta? Czy nie powinniśmy przekładać, ponad pasywną inercję wzbudzania namiętności, boskiego niepokoju odczuwania jej?

— Ach! — Dora wstrząsnęła ramionami.

— A jednak spotykamy kobiety „Kochające“, urodzone ze świętym ogniem uczucia w sercu, patrzące z zazdrością, miast z współczuciem, na swe siostry, chłodne i bierne „Kochane“, które, jak posażki, stoją wśród płomieni cudzej miłości, i obojętnie patrzą na uczucia, które wzbudziły, a których same nie podziwiają... Gdyż, słuchaj uważnie, ledwo je zaczęły podzielać, przechodzą odrazu do drugiej kategorii, do „Kochających“... i wtedy muszą przejść na inny kurs, zupełnie inny...

— Zaczyna mi się to płatać — mówi Dora, patrząc na mnie niewidzącym wzrokiem. — Ogranicz się do wyjaśnienia mi, na czym polega twój kurs dla „Kochających“. — (Dostrzegam, że Dora się rumieni).

Dzielić się on będzie — wykładam — na trzy klasy: szczęśliwość cyniczna; szczęśliwość wielkoduszna i szczęśliwość absolutna. Uczennicom, które wybiorą „szczęśliwość cyniczną“, wykladać się będzie różne przepisy, konieczne dla uniknięcia nieszczęśliwej miłości. Naprzykład: Kobieta w stosunkach miłosnych powinna zaczynać zawsze ostatnia, a pierwsza kończyć. To znaczy: nie powinna się nigdy zakochać pierwsza, ani odkochać ostatnia. (Widzę, że usta Dory powtarzają półgłosem tę mądrą przestrożę.) Drugi przepis: „Nie pędzić nigdy za jednym mężczyzną lub tramwajem, gdyż będzie zawsze drugi, który nadejdzie...“ I tak dalej.

— Cyniczne, doprawdy! — rzecze Dora—Przejdźmy do następnej klasy.

— „Szczęśliwość wielkoduszna“? W tej klasie nauczymy się odnajdywać w nas samych całą tę radość, której błędnie i nielogicznie, żądamy od innych. Raz przekonawszy się o tym, że każda przyjemność wynika z tego, co same czujemy, a nie z tego co inni dla nas czują, dochodzimy do wniosku, że nie obchodzi nas, czy nasza miłość jest odwzajemniona, czy nie. Jest to forma wyższego i światłego egoizmu. Jestem brzydka? Co mnie to obchodzi! Jeżeli tylko ten, którego kocham, jest piękny i podoba mi się! Jest odemnie daleko? Nie, gdyż mam go w mem sercu, gdzie mogę go odnaleźć, kiedy tylko zechcę. Należy zauważyć, iż teorie te, wyłożone z całą szczerością ukochanemu człowiekowi, mają jeszcze inną zaletę. Wiemy, że mężczyzna jest bardzo próżnym. Nie zdarzy się nigdy, wobec takiego zachowania, wypadek, aby się nie wzruszył. Powie sobie iż kobieta, która go kocha bez scen, płaczu, wymówek, żądań, która doń mówi tylko o nim, aprobując wszystko, co on robi, podziwiając wszystko, co mówi, interesuje go w gruncie rzeczy więcej, niż każda inna. Przyzwyczaj się, by przeglądać się w niej, jak w lustrze, — w lustrze pochlebiającem — a wtedy nadejdzie dzień, kiedy „Kochająca wielkodusznie“ zostanie przeniesioną nagle do kategorii „Kochanych“.

— O, popatrz! — szepnęła Dora pod wrażeniem. Może masz słuszność!

— A teraz przejdźmy do trzeciej klasy: do „szczęśliwości absolutnej“. Tu będą udzielane najcenniejsze nauki. Tu się nauczy kobietę kochać jedynie to, co jest w jej posiadaniu. Kiedy nauczymy się tego, by powiedzieć sobie, że rzecz, czy człowiek, którego mamy, jest jedyną, której pragniemy; kiedy będziemy przekonane, że to, co do nas należy, dlatego tylko, iż jest nasze — jest jedynie godne naszej miłości, wtedy doprawdy znajdziemy tajemnicę szczęścia.

— No, dobrze — odrzekła Dora po chwili milczenia — lecz jeżeli ta rzecz, czy ten człowiek, który dziś jest nasz... jutro nam się wymknie.

— O, — odpowiadam — nie jest już naszym, kiedy się nam wymknie. A więc automatycznie przestajemy go kochać. I, przestając kochać, przestajemy cierpieć. A zresztą trzeba umieć utrzymać to, co nasze. I trzyma się właśnie szczęściem. Naszem szczęściem! Gdyż tylko kobieta szczęśliwa może innych uczynić szczęśliwymi. Wierz mi: melancholiczka, zrezygnowana ofiara w życiu codziennym jest ciężarem dla siebie samej i udręką dla innych.

Dora śmieje się i całuje mnie.

Od tego czasu Dora i ja zbieramy radość pełnemi garściami, gdzie tylko ją znajdziemy; i zadziwiająca jest rzeczą, w ilu bliższych i dalszych zakątkach ją znajdujemy; wzdłuż ilu ścieżek odludnych lub uczęszczanych jawi się ona i kwitnie!

Odwróć głowę, nieznana przyjaciółko moja, która to czytasz, a zobaczysz, że i ty również masz jej pełen dom, ogród i serce...

Tłum. z włoskiego Julia Wawelberg.



W SPRAWIE KSZTAŁCENIA I WYCHOWANIA NASZEJ MŁODZIEŻY

Od jednej z naszych czytelniczek otrzymujemy artykuł, zawierający szereg uwag o naszym szkolnictwie powszechnym i średnim. Redakcja „Bluszczu” chętnie zamieszczać będzie dalsze głosy kobiet w tej, tak żywo nas obchodzącej, sprawie. (Przyp. Redakcji).

Sprawa kształcenia i wychowania młodzieży zawsze będzie żywotna, i wszelkie zmiany programów, projekty w tej dziedzinie stale interesować będą szerokie warstwy społeczeństwa, bo wszak to chodzi o przyszłość narodu, o to, co jest nam najdroższe.

Zwłaszcza nas, kobiety, które z ufnością oddajemy dzieci nasze szkole, które zbliżając się do nich codziennie tam życie, uderza cały szereg spraw, wiele z nich przejmując nas niepokojem.

Nieobce są też nam głosy, które od paru lat zapowiadają zasadnicze reformy w dziedzinie szkolnej, co świadczy, iż obecny stan nie jest zadowalający.

Cel szkoły jest jasny: wychowanie rozumnych obywateli na użytek ojczyzny i rodaków. Zatem należy nie tylko napełniać mózgi, ale rozbudzać serca, kształtować charakter, bo „taka będzie rzeczpospolita, jakie młodzieży jej chowanie”. Na tę właśnie stronę zbyt mały dotąd był kładziony w praktyce nacisk. Faktycznie jest to rzecz najtrudniejsza, bo uzależniona od istotnego pedagogicznego daru nauczyciela. Trzeba jednak zwrócić uwagę, że niemało mu utrudniało wypełnienie tych właśnie obowiązków przeładowanie pracą, wynikające z wypełnienia ogromnego programu.

A program szkolny nie zawsze jest w zgodzie z zasadą, że szkoła przygotowuje do życia.

Zacznijmy od szkoły powszechnej: Mówi się wiele o przystosowaniu nauki do rozwoju dziecka, a stosuje się zupełnie ten sam program dla oddziałów szkół wiejskich i miejskich.

Każdy, kto zetknął się z tem bliżej, wie, o ile dziecko ze wsi rozwija się wolniej, z jakim trudem przyswaja sobie wiadomości, które jego rówieśnik — ulicznik w lot chwyta.

Nie jest też, niestety, nieuzasadnionem — zdanie, że dziecko wiejskie szkołą wykoleja.

Wiedza, zdobyta z takim trudem, cudowne światy, odkryte niezdolnym jeszcze do krytycznej oceny oczom, odrywają dziecko od zagona, kopią pomiędzy niem, a jego chatką przepaść.

Szkoła nie uczy go cenić krwawego potu ojca-rolnika, nie zachęca go, by swą wiedzę i zdolności obrócił na podniesienie gospodarki — ona zupełnie nic o tem nie mówi, a w mózgu dziecka formułuje się myśl, że, widać, są to rzeczy zupełnie nieważne, skoro o tem ani „Pan nie mówi”, ani w książkach, z których się uczy „nic nie pisze”.

Faktycznie na lekcji przyrody niema miejsca na rolnictwo, ogrodnictwo, a nauczycielowi pobyt w seminarjum też nic nie dał w tym zakresie. (To „nieuctwo” na punkcie rolnictwa, jak utrudnia nauczycielstwu stosunki ze wsią!)

Rozpoczęcie w wyższych oddziałach szkoły powsz. na wsi nauki rolnictwa, ogrodnictwa i związanej z nią praktyką (szczepienie drzew, sadzenie warzyw) dałoby o wiele lepsze rezultaty, niż prowadzona od oddziału V-go nauka języka francuskiego,

Nie przeczę, że znajomość języków jest rzeczą pożyteczną, ale naprawdę, czyż z tych tysięcy, mordujących się nad francuskim, dzieciaków, choć dziesiątki wyciągną należytą korzyść?

Wiejskie dzieci, co w III, w IV-tym oddziale jeszcze nie mówią całkowicie czystą polszczyzną, w oddziale V-tym mają poprawnie wymawiać dyf-tongi! Uczy je tego nauczyciel, który sam wymawia, że pożałuj Boże.

Stanowczo te kilka godzin w tygodniu możnaby wyzyskać z o wiele większym pożytkiem dla dzieci, a oto właśnie iść powinno.

Twórcy Komisji Edukacyjnej, Założyciele Krzemienia ogromny nacisk kładli na t.zw. dziś „zajęcia praktyczne”, a te obecnie są traktowane mocno po macoszemu (wystarczy spojrzeć do tygodniowego rozkładu godzin lekcji).

Mogłyby zaś, odpowiednio postawione, oddać ogromne usługi, wpływać na rozbudzenie zamiłowań i wybór fachu.

Po skończeniu 7 oddziałów szkoły powsz. chłopiec wiejski marzy o pójściu dalej, ale celem jego nie jest szkoła rolnicza, lub zawodowa, lecz zostanie nauczycielem, lub urzędnikiem.

(Prądowni temu dziewczyny dotąd mniej ulegają).

Nie jestem przeciwniczką, by synowie chłopcy szli jaknajwyżej, ale uważam, że docierać tam powinny jednostki naprawdę najlepsze, a za wszelką cenę należy unikać wytwarzania wiecznie niezadowolonego proletariatu półinteligentnego.

A niestety w tym kierunku właśnie idziemy. Po miasteczkach szkoły średnie są przeładowane dziećmi wiejskimi, za to szkoły rolnicze, mimo, że ich liczba formalnie jest nie dostateczna, niewszystkie mają komplet.

Przyczyną tego ujemnego, a dla przyszłości b. niebezpiecznego zjawiska (jest to jeszcze wyjaśnianie wsi ze zdolniejszych jednostek) leży bezwzględnie w programie i niewłaściwej metodzie szkoły-powszechnej.

Ze szkoły w pierwszym rzędzie winna iść inicjatywa i zachęta, by ta część młodzieży, która ma swoje gospodarki, szła do szkół rolniczych, a pozostała, zamiast wymagać działów i tak już wąsko pokrajanych zagonów, kształciła się zawodowo.

Ogromny odsetek mógłby się włączyć do rzemiosł, handlu i t.p., i drogą naturalnej ewolucji wytworzyć, tak nam bardzo potrzebną, warstwę drobno mieszczańską, któraby nadała naszym brudnym i pełnym szwargotu miasteczkom — inny wyraz.

Zbyt może jednostronnie zajęłam się szkołą powsz. wiejską — zrobiłam to celowo, ponieważ ona jest upośledzoną, zarówno pod względem sił fachowych, jak i naukowych pomocy, stoi dużo w tyle poza szkołą miejską. Pod względem liczby uczniów ma jednak ogromną przewagę, i dlatego koniecznym jest zajęcie się jej potrzebami życiowymi i zwrócenie na jej rozwój baczniejszej uwagi.

* * *

W szkole powszechnej widzimy niepokojące braki, większym jednak jeszcze niepokojem napawać nas musi szkolnictwo średnie i to, co się dzieje na wyższych uczelniach. Z tych dziedzin mamy już całkiem szereg niepokojących faktów.

Oto profesorowie wyższych uczelni prawie zgodnie stwierdzają, że młodzież ze szkół zaborczych lepiej znała swą literaturę, historję i — ortografię, niż obecni maturzyści.

Świadectwo, naprawdę, przynębiające!

Dzieją się rzeczy paradoksalne: stale narzeka się na przeładowane programy (i słusznie), na ogrom wiadomości, jakie dziecko od klas najniższych ma sobie przyswajając, uczennicom w klasie VI czy VII każe się pisać wypracowanie na temat: „prometeizm w utworach Mickiewicza“, lub graficznie (sic) przedstawić rozwój bólu Kochanowskiego w Trenach (Jest to przyzwyczajanie do nieścisłości, ściągania i blagi).

A w sumie poziom ogólny maturzystów (tek) obniżył się pod każdym względem.

Profesorowie z politechniki narzekają, iż słuchacze nic nie pamiętają z zakresu matematyki najbardziej zasadniczych twierdzeń; dziwy poprostu opowiadają asystenci z pracowni fizycznych, chemicznych, przyrodniczych o pytaniach i odpowiedziach studentów, a na egzaminie z literatury jeden z profesorów dowiedział się, że Osyana napisał Plutarch (autentyczne).

Zatem zło jest niestety skonstatowane, chodzi tylko o ustalenie, gdzie ono tkwi: w programie, w metodzie uczenia, czy w samej młodzieży?

Konieczne jest dokładne zbadanie źródła i obmyślenie środków zaradczych dla zapobieżenia złu.

Nie chcę tego w tej chwili przesądzać; myślę, że dyskusja, jaka się rozwinie, wiele rzeczy wyjaśni.

Zasadniczem będzie zagadnienie: istotnego celu szkoły średniej.

W tej chwili może być szkoła średnia traktowana jedynie, jako etap do studjów dalszych, sama w sobie bowiem nie daje praktycznie nic.

Zdajemy sobie chyba sprawę, że zupełnie nie jest pożądanem, by wszyscy maturzyści szli do uczelni wyższych.

Stąd jasny wniosek, że już szkoła średnia powinna dawać pewną specjalizację, a odpowiednie szkoły zawodowe — przygotowywać fachowo.

Czy np. nie byłoby pożądanem, by po skończeniu pensji (lub, w razie jej przekształcenia, właśnie w szkole) wszystkie dziewczęta przeszły kurs gospodarstwa domowego?

Szkoła, która by naprawdę wzięła sobie za zadanie przygotowanie dziewcząt do ich późniejszej roli żon i matek, oddałaby duże usługi społeczeństwu, podniosłaby napewno dobrobyt wielu rodzin, a kto wie, czyby nie przyczyniła się do usunięcia wielu nieporozumień i zmniejszenia liczby rozwodów.

Kobieta powinna być jak najbardziej wykształconą, jednak od atmosfery szkolnej będzie zależało, by na drogę naukową poszły tylko te, które mają zamiłowanie i odpowiednie zdolności, a by pozostałe znalazły sobie dziedziny, w którychby z większym pożytkiem i wydajnością mogły pracować, zdobywać utrzymanie, niezależność, nie uważając się przytem za pokrzywdzone przez los.

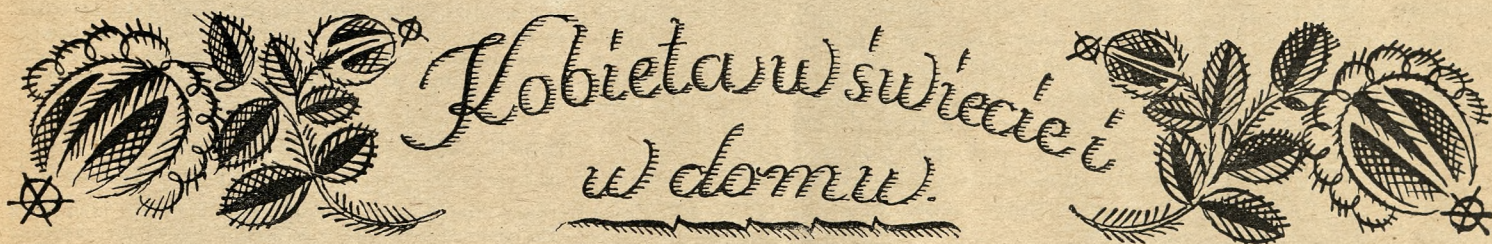
Dostatecznie chyba zdajemy sobie sprawę z roli kobiet w społeczeństwie, by na ich wychowanie i wykształcenie położyć specjalny nacisk.

Zdaje się, że przeważać u nas zaczyna pogląd, iż głównym wychowawcą dziecka jest szkoła.

By jednak istotnie to zadanie swoje wypełniać zaczęła, należy w pierwszym rzędzie dobierać specjalnych wychowawców — pedagogów, zwolnić ich z nadmiaru obowiązków, pozatem wykorzystać inne współczynniki: harcerstwo, traktowane dotąd pomimo wszystko, po macoszemu, obozy letnie i t. d.

Młodzież, którą wychowa szkoła średnia, a 2 lata szkoły specjalnej przygotowuje praktycznie do życia, da cały szereg obywateli — pracowników, o wiele większą mających dla społeczeństwa wartość [od setek — nie dokończających] wyższych zakładów — wykończonych.

A. Pobożanka.



SZOFRKI BEZPIECZNIEJSZE!

Statystyka, prowadzona przez jedną z największych instytucji ubezpieczeniowych w Ameryce, wykazuje bardzo ciekawy fakt: kobiety-szoferki są o wiele ostrożniejsze od szoferów, mężczyzn. Materiały do statystyki były zbierane we wszystkich miastach prowincjonalnych i dały wszędzie te same rezultaty. Tak np. miasto Connecticut donosi, że jest w niem osiem razy tyle szoferów, uprawnionych do jazdy drożkami samochodowymi, niż szoferek — jednakże wypadków samochodowych, w których winę ponosili szoferzy, było piętnaście razy więcej, niż tych, podczas których przy kierownicy siedziała kobieta!

Oto cyfry innych miast; Massachusetts podaje stosunek procentowy wypadków samochodowych, których winę ponosiły szoferki, jako 5,3% ogólnej liczby tych wypadków, chociaż według normy ilościowej procent ten powinien był wynosić co najmniej piętnaś-

cie wypadków na sto. W Los Angeles na sto wypadków samochodowych winą przypada w 94 razach na mężczyzn, a tylko w 4-ch na kobiety. Według sprawozdania z Missouri, w mieście tem zdarzyło się w przeciągu roku ubiegłego 14,559 wypadków, z których 13,686 spowodowane były nieostrożnością mężczyzn, a tylko 873 — kobiet. W innem znów mieście, gdzie stosunek procentowy szoferek do szoferów przedstawia się jak 20:100; tylko dziewięć szoferek w przeciągu roku pociąganych było do odpowiedzialności za nieostrożną jazdę, szoferów zaś 178.

Wynika więc z tego jasno, jak na dłoni, że kto lubi bezpieczną jazdę, powinien wybierać tylko takie automobile, które kierują szoferki!

NAJSTARSZA CZESZKA

Najstarszą wiekiem kobietą w republice czesko-słowackiej jest niejaka Marja Filarowa, wieśniaczka, zamieszkała w miasteczku Zaborze. Skończyła ona

dn. 26 października r. b. lat 106 i cieszy się dotąd doskonałym zdrowiem. Filarowa niedawno straciła męża również bardzo już podeszłego wiekiem, który na dziesięć lat przed śmiercią stracił wzrok, staruszka więc przez cały ten czas pielęgnowała go i żywiła własną swą pracą. Całe jej życie było przykładem pracy twardej a nieustannej, której nie zaprzestała i teraz, pomaga bowiem dotychczas jeszcze bardzo dzielnie w gospodarstwie swemu synowi i wnukom. Tylko słuch jej wypowiedział ostatniemi czasy posłuszeństwo, pozatem jednak staruszka widzi doskonale i nie uważa się bynajmniej za niedołęzną!

WYNALAZKI KOBIECE

Do największych atrakcyj jesienno sezonu londyńskiego należy, zdaniem prasy angielskiej, międzynarodowa wystawa wynalazków, otwarta w wielkiej Hali (t. zw. Central Hall) d. 13 października. Na specjalną uwagę zasługuje fakt, że conajmniej 20% tych wynalazków jest, jak już stwierdzono, wytworem umysłu i rąk kobiecych. Największy procent tych wynalazków kobiecych przypada na dziedziny gospodarstwa domowego i tyczy się głównie oszczędności i ułatwień w pracy. Dużo jest także wynalazków, dotyczących się budownictwa i urządzeń domowych. We wszystkich tych dziedzinach kobiety wykazują ogromną praktyczność i pomysłowość.

CHCESZ PALIĆ? PŁAĆ KARĘ!

Władze magistrackie w Nowym Jorku są stanowczo usposobione antyfeministycznie: nie chcą przyznać kobietom tych samych praw do zatruwania się nikotyną, co i mężczyznom! Świadczy o tem następujący wypadek:

Na jednym z wybrzeży portowych zostało wzbrowione palenie papierosów na wolnem powietrzu, ze względu na rozładowywanie olbrzymich transportów materiałów wybuchowych. Tegoż samego dnia, w którym rozporządzenie to zostało wydane, władze bezpieczeństwa aresztowały kilkanaście osób, które, nie wiedząc jeszcze nic o zakazie, paliły najspokojniej w świecie papierosy w pobliżu niebezpiecznych ładunków. Pomiędzy aresztowanymi znalazło się czternaście mężczyzn i tylko jedna kobieta. Magistrat skazał każdego z „przestępców” płci męskiej na trzy dolary kary, kobiecie zaś kazał zapłacić dziesięć dolarów, t. j. zgorą trzy razy tyle, motywując ten wyrok oświadczeniem, że „kobiety nie powinny wogóle palić tytoniu!”

Z. B.

ściwości tego metalu, ale z suggestywnego działania na otoczenie. Dlatego można je zastąpić banknotami, a nawet banknotami fałszywymi.

Tę odmianę odwiecznej prawdy wyklada nam pan Montgomery w swojej miłej komedji „Tajemnica powodzenia”. Właściwym bohaterem jej, jak większości komedji amerykańskich, jest Dolar; ale są i bohaterowie pozorni, młody milioner i n. spe, pan Stef, i tajemniczy pan Eves. Pierwszy jest właścicielem kopalni złota. Zawód bardzo miły i przyjemny, gdy się ma pieniądze na eksploatację skarbow. Ale pan Stef jest bogaczem ubogim, niema na przetrzymanie krytycznego czasu, i chociaż wierzy w swoje kopalnie, chociaż jest rzutki i energiczny, traci w końcu nadzieję. Zwróci narzeczonej słowo, nie chcąc wiązać jej z nędzarzem, a sam...

Ale w tej krytycznej chwili zjawia się pan Eves. Pan Eves ma pieniądze. Ma tyle pieniędzy, ile zamarzy. Poprostu sam je fabrykuje. Pan Eves proponuje młodemu desperatowi, żeby wziął na przechowanie część tych artystycznie wykonanych banknotów. Pieniądze są fałszywe, ale nawet fałszywe pieniądze mogą być magnesem. Teoria pana Eves spełnia się co do joty. Przyjaciele i znajomi, którzy dotychczas słyszeć nie chcieli o kopalniach Stefa, obecnie dobijają się o akcje. Poprostu spostrzegli, że ich przyjaciel ma portfel nabitą tysiąc dolarówkami, musieli więc trafić na złotą żyłę! A jeżeli tak, to dlaczegożby tylko Stef miał być szczęśliwym? Niech i inni skorzystają!... Stef czuje, że mimowoli oszukał tych ludzi. Jest to przesadna drażliwość sumienia, bo w końcu kopalnie sygną złotem, ale tymczasem... Postanawia oddać akcje. Napróżno! Niema głupich! Przyjąć akcje z powrotem teraz, kiedy Stef ma pełno pieniędzy, kiedy trafia się doskonały biznes! Nawet kiedy na scenę wkrocza policja, chcąc aresztować fałszerzy banknotów, akcjonariusze nie przestaną popierać Stefa: ten mądry szpak, nie mogąc w inny sposób pozbyć się współników, chce ich przestraszyć policją! Nie dadzą się wziąć na kawał.

Długo byłoby opisywać, w jaki sposób sympatyczny pan Stef i tajemniczy pan Eves wydobyli się z matni. Wystarczy, jak wam powiem, że Stef się nie mylił, że kopalnie okazały się naprawdę złotodajną żyłą, że panna Grace zostanie żoną miliardera, a pan Eves otrzymał swoje 30 tysięcy dolarów, które zarobił—przyznacie chyba — ciężką pracę.

Wesoła ta i zręcznie napisana komedja jest jeszcze jedną ilustracją gorączki dolarowej, na którą cierpią Amerykanie. Gorączka ta przeniknęła przed paru laty do nas; ale trwała krótko i — na szczęście, czy na nieszczęście — nie pozostawiła głębszych śladów. Daleko nam do tego, żebyśmy się elektryzowali na samo słowo „biznes”! Charakterystyczną jest jednak rzeczą, że publiczność szczerze i gorąco oklaskiwała filozofję pana Eves, fabrykanta artystycznie wykonanych banknotów tysiąc dolarowych. Nie ukrywała też, że sympatie jej są po stronie pana Stefa, a nie policji, którą przecież też ożywiał duch pogoni za dolarami.

Sztuka Montgomery'ego była grana w Warszawie przed kilku laty. Wtedy nosiła tytuł „Złoty magnes”, i cieszyła się ogromnem powodzeniem, które możemy jej wróżyć i dzisiaj. Nie tylko bowiem jest miejscami zabawna i interesująca, jako żart filozoficzny, ale ma bardzo wdzięczne role. Umieli je wykorzystać doskonale p. Zelwerowicz i sympatyczny i inteligentny p. Różycki. Z pań słowa uznania należą się pp. Rotter-Jarmińskiej, Gorczyńskiej i Lenerównie.

TEATR ĆWIKLIŃSKIEJ I FERTNERA

„Kiedy wrócisz?” komedja w 3 aktach W. Maughana

Komedja pana Maughana przenosi nas w zupełnie inną sferę zainteresowań. Po pierwsze, jesteśmy w Anglii; po drugie, nic nas nie obchodzi dolary, a cała nasza uwaga skupia się na małżeńskomiłosnym konflikcie pana Ryszarda i pani Penelopy.

Jest to małżeństwo z miłości, małżeństwo kochające się, w którym mąż (lekarz bez praktyki) zdradza żonę. Zdradza, bo się przesycił jej jednostajną i czułościową miłością. No, i dlatego pewnie, że przyjaciółka żony jest bardzo miła i powabna. Pani Penelopa jest w rozpacz; najgorsze myśli przychodzą jej do głowy. Ale pani Penelopa ma mądrego ojca, który jest głębokim znawcą spraw małżeńskich. Staruszek radzi córce — czekać... Mało tego, radzi jej ułatwić Ryszardowi schadzki z kochanką; im prędzej się mu sprzyrzy, tem prędzej wróci do prawowitej małżonki. A przyjaciółka Penelopy ma ten sam sposób bycia i te same metody postępowania, co ona. Tak samo naprzykrza się Ryszardowi, nudzi go sobą, męczy.

Skutek — łatwy do przewidzenia: Ryszard wróci do wiernej Penelopy... Czy wróciłby, gdyby jego kochanka nie okazała się drugim wydaniem żony, nie wiemy. Ale sądzę, że stary matematyk wziął to pod o b i e c n o s t w o pod uwagę przy swoich obliczeniach. I dlatego nie nie ryzykował.

Sztuka pana Maughana jest typową sztuką „białą”, chociaż porusza tematy drażliwe. Przytem ma dużo pogodnego humoru. Arcydziełem, ani nawet dziełem wybitnem nie jest; słucha się jej jednak z przyjemnością, zwłaszcza że Penelopę grała pani Ćwiklińska, która nie ma sobie dziś w Polsce równej w sztuce konwersowania. Dobry był p. Grabowski i p. Justjan (ojciec); zabawną pani Chaveau, miłą p. Gellówna.

Z. P.



TEATR LETNI

„Tajemnica Powodzenia”, komedja w 3 aktach
J. Montgomery

„Trzeba mieć pieniądze, żeby mieć Pieniądze” — mówi Jan Montgomery. Prawda to aż nazbyt dobrze znana tym wszystkim, którzy chrończnie pieniędzy nie mają. Może oczywiście się zdarzyć, że gdyby dostali pieniądze, nie potrafiliby zrobić Pieniądzy (przez duże P), ale nie możemy zabronić im myśleć, że z tą chwilą zmieniłyby się ich stan posiadania. Bo złoto, to magnes; złoto przyciąga przyjaciół, powodzenie, a przede wszystkim samo siebie. Ta siła magnetyczna wpływa nie z chemicznych lub fizycznych wła-

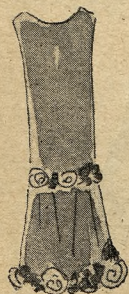
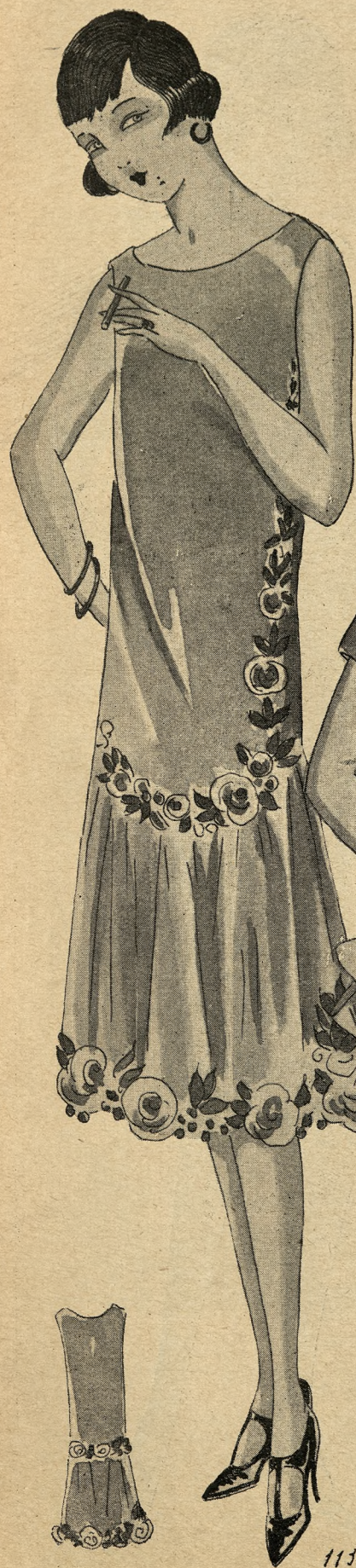
MODY I ROBOTY



1130.

1131.

1132







1141

1142

1143

1144



1145

1147

1146



1148

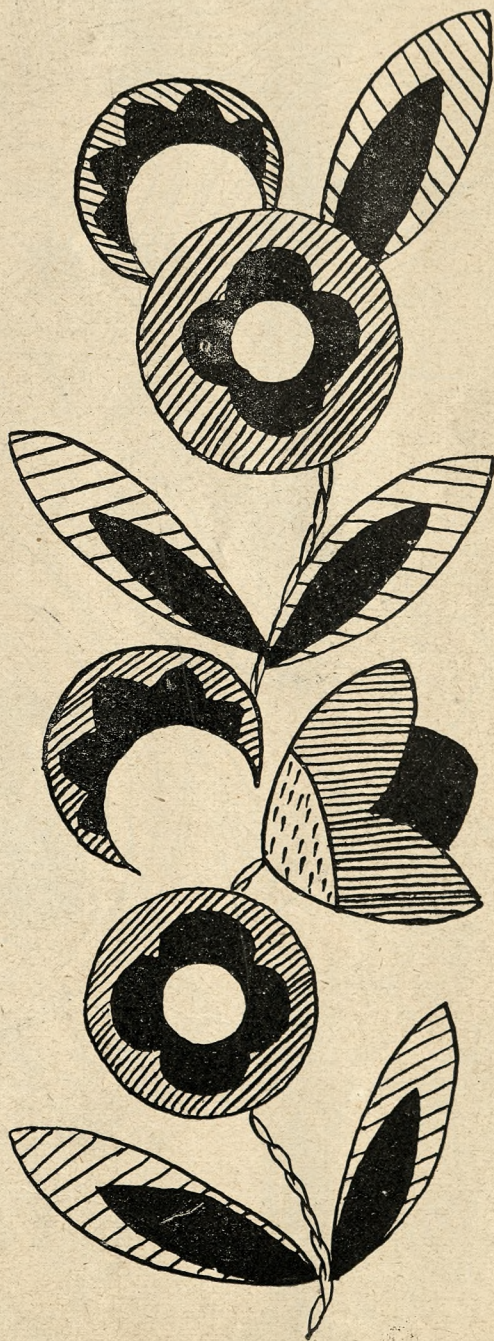
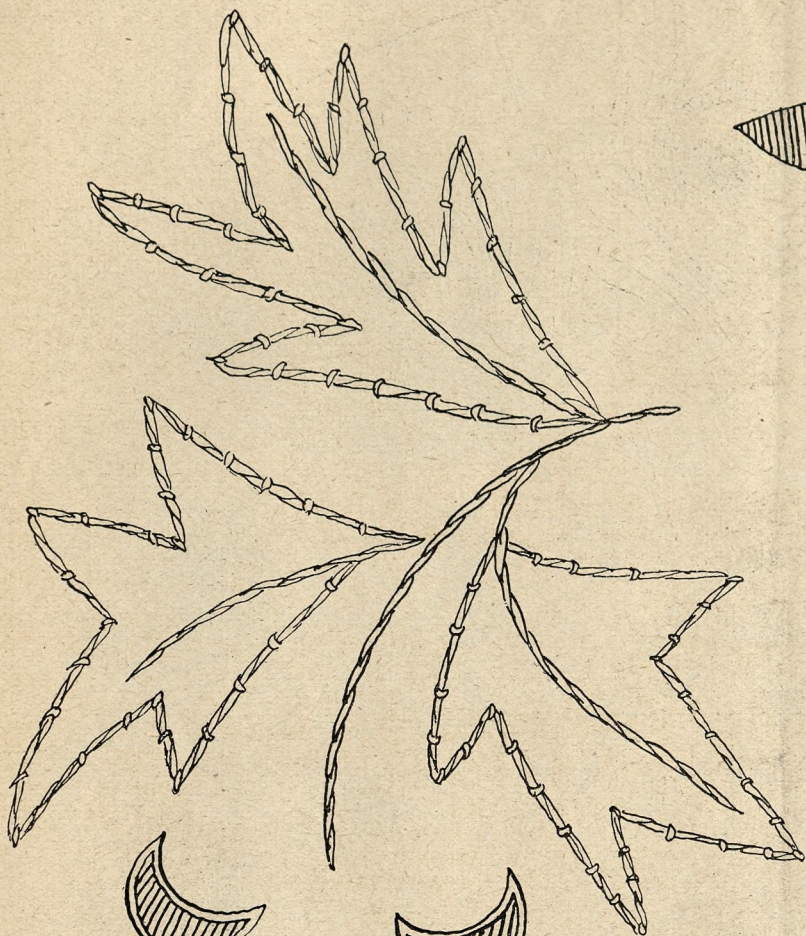


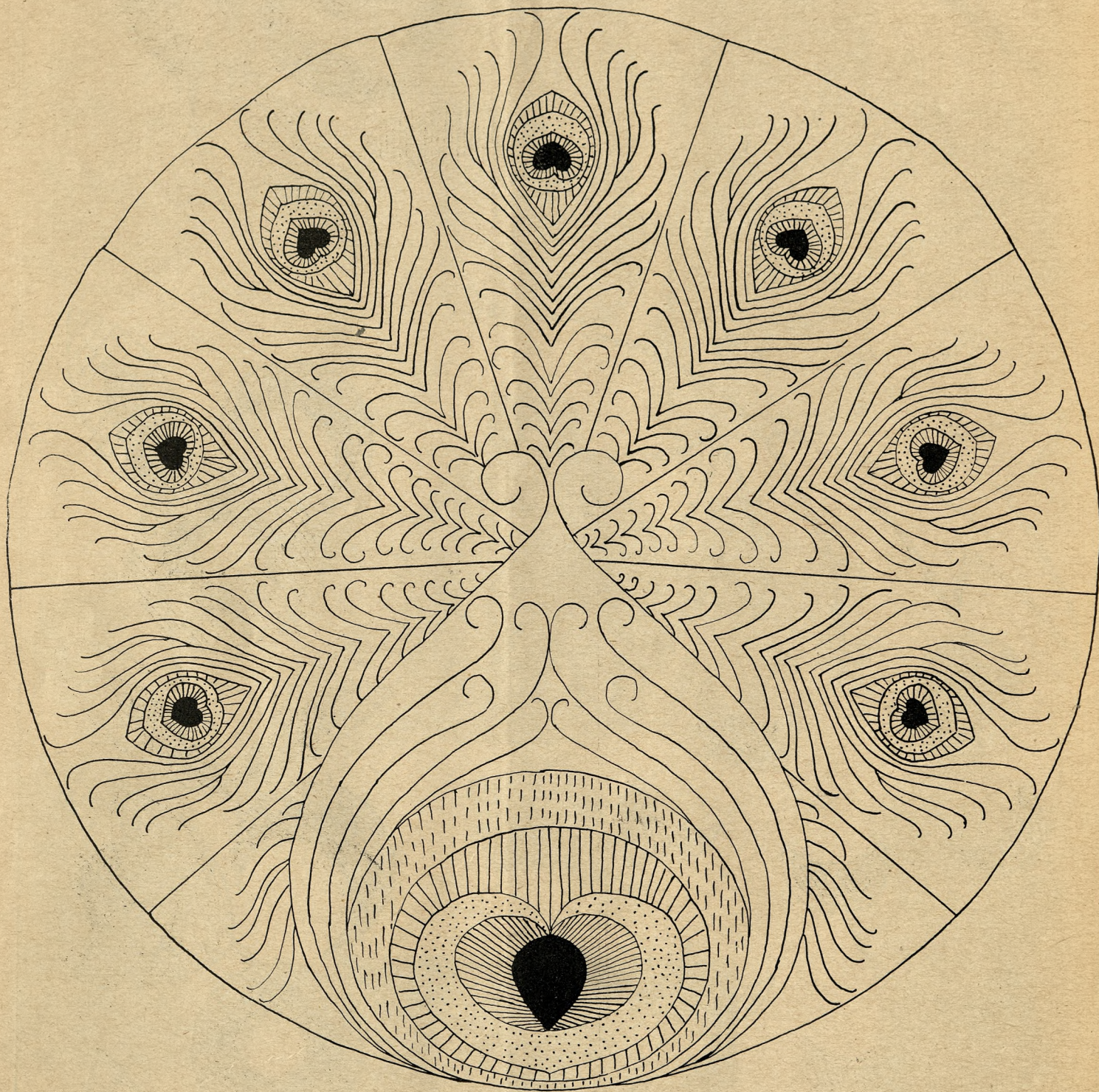
1149

1150



1151





HAFT ŚCIEGIEM PRZECIĄGANYM I OKRĘCANYM



Haft ten, zależnie od materiału, którym jest wykonany służy do ozdobienia różnych przedmiotów. Zrobiony grubą włóczką da się zużytkować do sukien, kapeluszy itp., a cienką jedwabną nitką ozdobi wykwintnie bieliznę z crêpe de chine'u. Stokrotki i listki robi się ściegiem петельkowym, wkluwając igłę powtórnie w miejsce, którem wyszła, i formując na wierzchu zgrabną pętelkę, przytrzymaną u góry prostym ściegiem.

Różyczki są zrobione ściegiem okręcany, wykonany, jak wskazano na rysunku.

Grubą włóczką przyozdobić możemy szal, albo filcowy kapelusz, cienką wełną i złotem — kołnierzyk, lub woreczek do teatru. Kwiatki mogą być różowe do cieniu, lub odpowiednie w kolorze do tła. Listki zielone, a środki kwiatków wypełnione złotymi supelkami.

TEA GOWN A PYJAMA



„Tea gown”—strojny neglig z epoki królowej Wiktorji, został wskrzeszony za sprawą niejakiej Marie Novitzky, zapewne naszej rodaczki, prowadzącej „grande maison de couture” w Paryżu. „Tea gown”, majestatyczna, powłóczysta (tak jest—powłóczysta) szata zwycięsko konkuruje z pyjamą. Znana jest również pod nazwą sukni odpoczynkowej (rest gown); piękna pani, zmęczona rannym spacerem, konną lub wioślarską wycieczką, sprawunkami i t. p., w domu przebiera się w luźny, miękka draperja opływający jej kształty tea gown, sadowi się wygodnie w głębokim fotelu lub układa malowniczo na empire’owej kuszecie (vide—Madame Récamier z portretu Davida) i tak przyjmuje popołudniowe wizyty. Jeżeli jest bardzo zmęczona, lub trochę niezdrowa, może w tea gown’ie zasiąść do obiadu, oczywiście, jeżeli są obecni tylko bliscy krewni, lub starzy przyjaciele domu. Mowa jest o stosunkach angielskich, my nie zwykliśmy z kwestją

towarzysko-toaletową robić zbytnich ceremonij, a zwyczaj przebierania się na codzień do obiadu znamy jedynie z powieści angielskich. Jeden z najpiękniejszych prototypów tea gown’u Marie Novitzky jest wykonany z popielatego velours chiffon; długie, szerokie skrzydła rękawy są zdobne w olbrzymie, cieniowane różowo i amarantowo, motyle. Tea gown Marie Novitzky (o sensacji!) sięgają do kostek. Lucien Lelong tworzy inny typ tea gown’ów, omal tak krótkich, jak współczesne suknie.

Bardzo ładny model tea gown’u mogącego służyć za domową suknię obiadową, jest z czarnego, miękkiego aksamitu: luźna spódniczka na szerokich szelkach, bluzka—koszulka z długimi szerokimi rękawami jest z kolorowej, haftowanej złotem georgette’y. W naszych stosunkach możnaby ten model zastosować na suknię wizytową dla młodej pani, mającej wkrótce zostać... szczęśliwą mamusią.

Ten błogosławiony stan wymaga specjalnie pomyślanych toalet, a pisma kobiece niestety zbyt mało udzielają temu działowi uwagi. Obok tea gown’ów kreuje Lucien Lelong i nowego typu pyjamy. Choć nie jestem zwolenniczką tego stroju z dwóch powodów: primo—jest kłopotliwszy do wkładania, niż nasz pocziwy stary szlafrok (zawsze jedną sztukę prędzej się wkłada, niż dwie), secundo—każda kobieta, która nie jest wysoka, jak dragon, i chu-

da, jak patyk, musi wyglądać w spodniach groteskowo, jednak przyznaję, że jedna z pyjam Mistrza Lucien Lelong mnie wręcz oczarowała. Składa się ona z długich spodeńków z czarnego jedwabiu, ciasno spiętych przy kostkach, kurteczka, zapinana na dwa rzędy guzików, była z wiśniowego aksamitu i była związana pod szyją czarną jedwabną kokardą, jak kurtki długowłosych malarzy z czasów cyganerii Murget’a. Wyobrażam sobie taką pyjamę, jako idealny kostjum dla jakiejś młodej i szczupłej rzeźbiarki, czy malarki, kręcącej się po swojej pracowni. Natomiast inna pyjama tegoż Lelong, cała zaszyta długą frendzlą ze strusich piór, jest do pomyslenia tylko na scenie, i do tego—otwartej. Normalna kobieta, poruszająca się w takiej pyjamie w normalnym mieszkaniu, znaczyłaby strzępami onej strusiej frendzli każdy swój krok i poruszenie. A teraz dajmy spokój owym zagranicznym wspaniałościom i pomyślmy o sprawieniu sobie

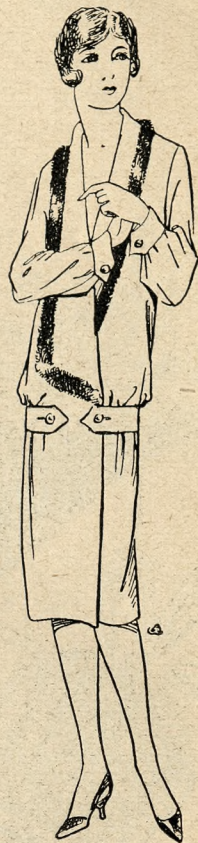
ciepłego i przytulnego szlafrocza na zimę. Mamy ciepłe, miękkie flanelety w ogromnym wyborze, nie drogie i—co najważniejsze—krajowe. Mamy prążkowane welwety we wszystkich kolorach, praktyczne, wprost nie do zdarcia. Kryją one jedną przykrą niespodziankę, kuszą pozorną przystępnością ceny (6 zł.),

tymczasem, ponieważ są bardzo wąskie, okazuje się zawsze że trzeba

wziąć na szlafrok dużo więcej metrów, niż się z początku liczyło.

Ale ostatecznie, wobec wielkiej trwałości prążkowanego welwetu i jego ładnego wyglądu, wydatek na ten metr ekstra się opłaci. Najstosowniejszym przybraniem zimowego szlafrocza jest futro. Można użyć resztki jakiegoś kołnierza, który już wysłużył swoje przy zimowym okryciu; będzie to dlań najstosowniejsza emerytura. Tu należy skorzystać z linji, lansowanej przez wyżej wspomnianą Marie Novitzky i robić zimowe szlafroczyki znacznie dłuższe, niż obecne sukienki. Szlafroczek musi być przytulny, taki żeby się nim można ciepło otulić, wyskakując z łóżka w chłodny zimowy poranek. Musi się łatwo wkładać, szczególnie zapinać, mieć długie rękawy tak skrojone, aby nie przeszkadzały w gospodarstwie, zaczepiając o meble i o filiżanki. Do tego jeszcze ranne pantofelki z filcu, bramowane futerkiem, ciepłe i miękkie, i mamy istny raj na ranne zabiegi gospodarcze. Kostjum wygodny i estetyczny. Tea gown możemy podarować angielskim ladie’s.

Well.



POLSKA WSPÓŁCZESNA

Odpowiadając na liczne zapytania naszych czytelników, co do dalszych artykułów o Polsce współczesnej, komunikujemy, że cykl artykułów, dotyczących: położenia geograficznego Polski, ludności Rzeczypospolitej i Organizacji Państwowości Polskiej, został ukończony pogadanką „o ustroju administracyjnym Rzeczypospolitej Polskiej”.

W roku przyszłym umieścimy szereg artykułów tego samego pióra, dotyczących życia gospodarczego Polski i jej bogactw naturalnych. Artykuły te będą ilustrowane licznymi wykresami statystycznymi i tablicami poglądowymi.

O WNĘTRZACH MIESZKANIOWYCH

NOWY RYTM ŻYCIA

Zanim przeanalizuję szereg typów mieszkań Ameryki i Zachodu Europy, pozwolę sobie przyjrzeć się, na czym polega owa wielka zmiana w tempie życia, wymaganiach i potrzebach dzisiejszych ludzi. Zaczę od miasta, gdyż dziś ono dominuje nad światem.

Wspominałem już, że po wielkiej wojnie i rewolucjach, warstwy społeczne pod względem posiadania zostały doszczętnie przemieszane. Biedni zostali bogatymi, bogacze — biednymi. W każdym razie nie liczny jest dziś odsetek ludzi, którzyby w zupełnej beczynności marnotrawili swój majątek. Czy to będą dogorywające rody magnackie, czy nuworysze — jest ich względnie niewiele. Natomiast ogół — pracuje dziś, i to ogromnie intensywnie. Pracują ci, co nie mieli nigdy nic i muszą zarabiać, dosłownie, na przeżycie, pracują ci, co potracili majątki w piekle wojny i rewolucji, i nie mają co do ust włożyć; pracują ci, co, odziedziczyszy pewne kapitały, chcą je rozdmuchać do miljonowej fortuny, a mając ją — pragną wciąż nowych bogactw. Jednym słowem, hasłem dnia dzisiejszego jest praca. We wszystkich gałęziach wiedzy, przemysłu, trudu fizycznego, praca wszystkich stanów nad podniesieniem dobrobytu swego i swego kraju. Jakże przestarzałem wydaje się zdanie „praca nie hańbi”. Dziś się nie rozumie życia bez pracy.

Pracują kobiety i mężczyźni. We wszystkich warstwach, na przeróżnych stanowiskach kobieta współzawodniczy dziś z mężczyzną. Walczą one o byt swych rodzin, pracują, by dać utrzymanie swym rodzicom, aby pomóc mężowi, aby wychować dzieci, aby nie zginąć samej. Pracują zrujnowani arystokraci i robotnicy, ziemianie i miejska inteligencja, dorobkiewiczowie i potentaci. Hasłem jest praca, ile sił starczy, na chleb, na dobrobyt, na zbytek. Dla siebie i swoich rodzin. To też dziś wielkie fortuny są albo podtrzymywane pracą osobistą, albo nią zdobyte. I można wyczuć dwa odmienne kierunki: jedni zaczynają szanować zdobyty z trudem pieniądź, inni właśnie go lekko wyrzucają, bo, skoro go sami zdobyli, mogą go się łatwo pozbyć, a jutro zdobędą nowy.

A więc jedną z cech nowego życia będzie praca, umysłowa i fizyczna, ogólna a intensywna o podłożu materialnym.

A potem idzie — szybkość. Dziedzictwo wojny. Gdy nieprzyjaciół rozpoczynał ogień huraganowy, czy

atak gazowy, gdy na miasto spadał deszcz bomb z aeroplanów, gdy szalały pożary i śmierć, nauczono się przedsiębrać piorunem decyzję. A w następstwie nauczono się błyskawicznie prawie rozstrzygać różne kwestje życiowe, jak postąpić. Czy to w drobiazgach, czy w sprawach większej wagi. Jest to niezmiernie ważne, szybkie zorientowanie się w każdej sytuacji, przewidzenie, co będzie dobre i słuszne, zawyrokowanie sprawiedliwe, a natychmiastowe. To przyspiesza życie, nie marnuje się wiele czasu na długie certywanie się i namyslanie. Puls istnienia bije prędzej.

A pozatem mamy szybkość lokomocji. Gdzie są dobre szosy, przestrzeń zaczyna grać coraz mniejszą rolę. Ktoś, mający biuro, czy warsztat pracy w olbrzymiej metropolii, może mieszkać stale, mieć swój home z ogrodem o paręset kilometrów i codziennie dojeżdżać samochodem, czy, ostatecznie, koleją. Możemy śmiało przewidywać, że szybkość pociągów i aut wzrośnie w najbliższych nawet latach conajmniej dwukrotnie. Powstaną nowe szosy, nieprzecinające się z innymi drogami, gdzieś na słupach wiaduktu zawieszzone, po których będzie się gnało z chyżością 200, 300 lub 400 klm. na godzinę, a może przyjdzie czas, że i te cyfry będą śmiesznymi, jak dziś bawi nas lokomotywa Stephensona, robiąca parę mil na godzinę. A pociągi. Jeszcze parę wynalazków, udoskonaleń, i kurjer Paryż-Warszawa będzie średnio robił po pięćset klm. na godzinę. Wydaje się to bajką, a czyż nie bajką dla 1800 roku była szybkość 120 klm., szybkość, osiągnięta dziś? To już nie bajka, możemy więc śmiało wierzyć i czekać, że dojdziemy do bajecznej sumy pochłanianych w godzinę klm. A że właśnie tempo życia jest też szybsze, że wynalazki wciąż się pojawiają, daleko nam dziś bliżej do setek kilometrów, niż kiedyś było do dziesiątków.

Pozostaje lotnictwo. To, co nam przyniosło ostatnie piętnaście lat w tej dziedzinie, jest wprost zdumiewające. Co za krok szalony od wątłej maszyny Bleriot czy Wright'a do potężnych hydroplanów z salonowymi kajutami, lecących z Gdyni do Kopenhagi, Szybko, bezpiecznie (wypadki są nie częstsze, niż na ziemi, a może — rzadsze) mkną wielkie szybowce, łącząc niebieskimi szlakami ogromne miasta świata. I znów można twierdzić z całą pewnością, że jesteśmy bliscy, że jeszcze my, młode pokolenie ludzkości, doczekamy — okrętów powietrznych, hoteli latających, pociągów transaerycznych. Ze szybkość lokomocji awionem wzrośnie lada rok do tysiąca klm. na godzinę jest to prawie pewne. Cóż za bajeczne perspektywy! Jakże zmaleje świat, którego najodleglejsze zakątki będą dostępne w parę dni. A jednocześnie rozwinie się lotnictwo, że się tak wyrażę, prywatne, czy osobiste. Będzie się miało w niedalekiej przyszłości aeroplan spacerowy, a potem aeroplan do interesów i potrzeb, jak dziś się ma auto do codziennego użytku, już nie jak wielką zabawkę luksusową. Śmiało patrzmy w promienną przyszłość. Widzimy narazie tylko doskonalenie zdobyczy istniejących, rozwój techniki, ale kto wie, jakie niespodzianki gotuje nam jeszcze genjusz ludzki, czego się możemy spodziewać za dziesiątek lat?

A życie pędzi; z zawrotną szybkością mkną wypadki, coraz nowe karty dziejów odsłaniają się przed naszymi oczami. Coraz nowe wynalazki przestają nas

zdumiewać. Musimy się skupić, zebrać całą wolę, energię, wyteżyć wszystkie siły, by razem z całą ludzkością lecieć, jak wystrzelony pocisk, w nieznana przyszłość.

Poza szybkością mamy całe zastępy dziedzin, opanowanych w ostatnich dziesiątkach lat. Myślę, między innymi, o radio. Gdy się w głuszy wsi kresowej, o wiele mil od kolei i poczty, usiadzie wieczorem przy kominie i pomyśli, że wokoło wirują nieuchwytnie dźwięki, lecące z całego świata, że płyną tony i słowa z drugiej półkuli i że trzeba tylko pewnej kombinacji drutów, lampek, że potrzeba parę słuchawek, od których się roi co dziesiąty sklep w stolicy, i dźwięki te na żądanie przypadną nam do uszu, będą mówiły i śpiewały, że, zamknawszy oczy, będziemy kolejno w Paryżu, Wiedniu, Londynie — chylimy w całej pokorze czoła przed geniuszem ludzi, co dali światu radio. Przyznamy, wbrew woli nawet, że świat jest inny, niż choćby przed laty 16-tu. Że te powiązanie falami dźwięków całej kuli ziemskiej, zniesienie przestrzeni dla tonu, jest czemś potężnym, jakąś nową wielką epoką. Czekajmy cierpliwie. Lada rok, a będziemy mogli rozmawiać z przyjaciелеm, będącym w Buenos Aires, czy Tokio. I będziemy mogli go widzieć na małym ekranie obok, a na żądanie, w parę dni możemy doń dolecieć.

Czekamy na rzeczy wielkie, ale mamy już olbrzymie. Musimy je cenić i pielęgnować i musimy sobie zdawać jasno sprawę z ich potęgi. W kraju naszym o starej kulturze mamy wielkie braki cywilizacji.

Choćby mała ilość i fatalny stan szos. Choćby nierozpowszechnienie samochodów, powolność pociągów kolei żelaznych, choćby fatalne i złe mieszkania. Brak wielkich hoteli w tylu cudnych zakątkach naszej Ojczyzny, w tych uroczych miejscowościach, do których najpierw niesposób dojechać, a raz dotarłszy z trudem — niema gdzie mieszkać.

Gdy już choćby pobieżnie, w zarysach ogólnych i niekompletnych widzimy poczynający się wielki dzień nowej ery, nowej sztuki, nowego życia; gdy widzimy, czym rozporządzamy, jakie zdobycze wiedzy służą nam za chleb powszedni — zdajemy sobie sprawę, że i nasze mieszkania muszą być też inne, nowe. Muszą być przystosowane do rytmu pracy, do wynalazków, do trybu życia. Inne są dziś wymagania wygody i higieny, inne są potrzeby mieszkańców miast, bądź wsi *). Trzeba umieć patrzeć w przyszłość, żyjąc z całą umiejętnością dniem dzisiejszym. Nie wolno nigdy, pod żadnym pozorem, zatrzymać się i oglądać wstecz. Jest to zgubne. Jak już pisałem, musimy pędzić w zawrotnym rytmie z całym światem, bo — inaczej będziemy odrzuceni na bok.

Jesteśmy silnym i zdolnym narodem i możemy zająć miejsce wśród przywódców ludzkości. Stać nas na wielkie wynalazki, stać nas, by nie kopjować form od obcych, ale stworzyć własną, rodzimą wielką sztukę i architekturę.

Zygmunt Knothe.

*) O nowym dworze wiejskim w Polsce napiszę oddzielnie.

O PODARKACH ŚWIĄTECZNYCH

Zbliża się chwila, gdy całe miasto przywdziewa szatę przedświąteczną i żyje pod hasłem: „Na gwiazdkę“! Wszystko, co bądź jest na sprzedaż, staje się w oczach kupców „podarkiem na gwiazdkę“ z dodatkiem „najpraktyczniejszym“.

Pieniądze, o które tak trudno teraz przez rok cały, w okresie tym zjawiają się, jak z pod ziemi, i złotym deszczem spadają na kupiectwo nasze, cały rok wyczekujące tej chwili. Mniej to wprawdzie imponująco wygląda, niż lat dawnych, niemniej jednak po sklepach, po księgarniach, które w tym okresie całoroczną biedę odbić sobie obiecują, kupujących pełno. Taki już zwyczaj odwieczny, zresztą dobry i miły i nawet pożyteczny.

W ofiarowywaniu sobie wzajemnych upominków jest jakiś wpływ serdeczności, wezbranie uczuć. Chodzi tylko o dwie rzeczy: aby ten potok pieniężny zatrzymać w kraju i aby nie kupować rzeczy bezużytecznych. Za biedni jesteśmy na to.

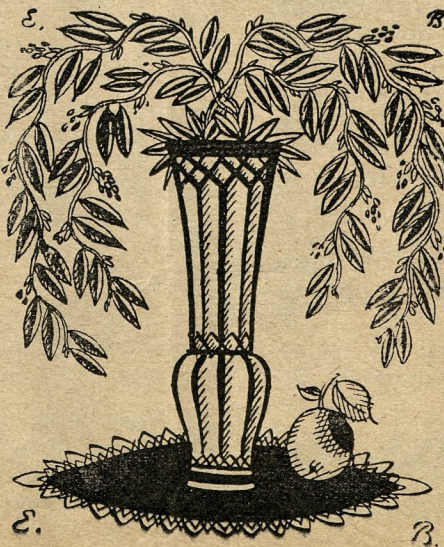
O wystrzeganiu się kupna zagranicznych towarów pisano i mówiono już dużo; powstała Liga, która walczy z tem złem nawykniem różnemi środkami. Społeczeństwo nasze pod tym względem dostatecznie uświadomione. Chyba indyferencji, albo ludzie uparci praktykują dalej system przekładania cudzych wyrobów nad nasze. Argumentacja tu zbyt słaba, wystarczy

prostu raz jeszcze przypomnieć — wobec zwiększenia zakupów w tym okresie i większego obrotu pieniężnego.

Podarki podzielić można na dwie kategorie: są takie, które nazwę „towarzyskimi“, są inne znów — przyjacielskie lub rodzinne. Grzecznościowo-towarzyskie podarki, które zrobić wypada, składają się zwykle z kwiatów lub cukierków.

We Francji np. jest zwyczaj, że na tak zwane „etrennes“ posyła się gospodyni domu, u której się bywa w ciągu roku, sakramentalne osmażane kasztany w bardzo wytwornym, eleganckim woreczku. Jestto odwieczny „sac de marrons glacés“.

Brak inwencji i tradycja sprawia to, że woreczków takich zbiera się bez liku, i z kolei odsyła się część tym, którym się również należy grzecznościowy upominek. — U nas pod tym względem szablonu niema, upominki bywają bardziej rozmaite. Gdy się wyjdzie jednak poza najłatwiejsze w wyborze kwiaty lub cukierki i wejdzie w sferę upominków rodzinnych lub przyjacielskich, to się zbyt często popełnia wielki błąd dawania rzeczy bezużytecznych, takich, które leżą rzucone na dno szuflaty, lub na jakiejś etażerze pełnią smutną rolę tak zwanej „kurzo-zbiórki“. Nie mówię tu, oczywiście, o rzeczach, posiadających wartość artystyczną, o antykach, rzadkich okazach, ale o tych tysiącznych bibelotach nie-



wiadomo do czego służących, a często urągających dobremu smakowi. Szkoda na nie pieniędzy, a przyjemności nie sprawia nikomu. Tyle jest natomiast rzeczy naprawdę pożytecznych, chociaż wkraczających już nieco w sferę przedmiotów zbytkownych, i których wobec tego sami zmuszeni jesteśmy odmówić sobie. Jakąż przyjemność sprawić może taki dar!

Dla pań — ładne pończoszki, perfumy (krajowe oczywiście), tak modne obecnie szale, ozdobne torebki, pugilaresiki, teczki, tysiące toaletowych dopełnień i drobiazgów, przed zakupieniem których wahamy się same.

Dla panów — krawaty, papierosnice, laski, szpilki do krawatów, dla wszystkich — dobre i ładne książki, wydawnictwa ozdobne. Jednym słowem wszystko to, co służy jakiemuś celowi, a nie jest tylko bezużytecznym i darmo zajmującym miejsce cackiem. Oczywiście, że osobiste upodobania osoby obdarowanej,

a ze strony obdarowującego takt i subtelność grają rolę pierwszorzędną.

To samo da się powiedzieć o podarkach dla dzieci: jak najmniej zabawek i przedmiotów, które dziecko z właściwą mu szczerością i bezpośredniością zaraz w kąć rzuci, uznawszy je za bezużyteczne dla siebie. Wszystko to razem jest wielkim marnotrawstwem grosza, na które nie powinniśmy sobie pozwalać, a jakże często jest wynikiem lenistwa i niedbalstwa, bo się nam pomyśleć nie chce nad odpowiednim wyborem.

Z osobistego doświadczenia powiedzieć mogę, że z połowy otrzymanych podarków nie korzystam wcale, z racji ich niepraktyczności i nieprzystosowania. Wszystko to darmo zajmuje miejsce w mieszkaniach i tak już szczupłych. Trzymajmy się tych dwóch haseł w epoce obdarowywania: Kupowania rzeczy swoich i pożytecznych. M. K. F.

„P S Z C Z O Ł Y“

Nowa książka o pszczelach życiu i naturze.

W Adamowiczach, pod Grodnem jest proboszczem ks. Tadeusz Ciborowski, zamiłowany pasiecznik, ale pasiecznik uczony. Godzinami całymi pochylony nad mikroskopem bada on tajemnice organizmu pszczoły, albo w ulu, czy przy pracy studjuje sekrety jej życia.

Nie sądzicie, jednak, że ks. Ciborowski jest tylko teoretykiem; pasieka jego wydaje obfite plony, a skarbem doświadczenia swego i badań dzieli się on corocznie ze spieszącymi doń na ochotnika praktykantami i praktykantkami, którym nietylko przekazuje swą wiedzę, ale i swe gorące uczucie dla świata wysocę uspołecznionych owadów.

Owocem długoletniej pracy badacza jest książka p. t. „Pszczoly“, wydana nakładem autora w drukarni „Znicz“ w Wilnie. O książce tej, gdy była dopiero projektem wydawniczym, pisaliśmy w „Bluszczu“, w artykule p. t. „Renesans pszczelnictwa polskiego“, przytaczając wyjątkowo pochlebne o niej opinie specjalistów.

Obecnie książka jest faktem dokonanym. Zdobi ją 124 ilustracje w tekście, przeważnie ze zdjęć foto- i mikrofotograficznych, wykonanych osobiście przez ks. Ciborowskiego.

Szkoda, że warunki techniczne drukarni nie odpowiedziały zadaniu, i niektóre doskonałe zdjęcia wyszły w druku zamazane i niewyraźne.

Miejmy nadzieję, że w następnych wydaniach ilustracje będą już równoważące z treścią.

Pierwszy obrazek przedstawia św. Ambrożego, patrona pszczelnictwa. Wykonany, jak się zdaje, ze starego sztychu, wyszedł doskonale.

A dalej patrzą ku nam w mikroskopowym powiększeniu dziwaczne „twarze“, „matek“, „trutniów“ i „robotnic“. Nie można inaczej wyrazić się. To są naprawdę „twarze“, i — mimo trojga oczu — jest w nich tyle ludzkiego... nie mniej chyba, niż w twarzach australijskich ludożerców i w ogóle plemion, stojących na najniższym szczeblu rozwoju.

Przerzucamy książkę dalej; ilustracje przedstawiają precyzyjnie przez skrzydlatych inżynierów wykonane plastry woszczyny z czerwem, z matecznikami, napełnione miodem i t. d.

Najbogaciej ilustrowana jest budowa anatomiczna pszczoły. Wszystkie części tego cudownego, niezmiernie skomplikowanego i tak niesłychanie celowo zbudowanego organizmu odsłaniają tu swoje tajemnice. Widzimy dalej pszczoły przy pracy — łańcuszki robotnic, wypacających z siebie wosk, z którego następnie rzędy budowniczych, przeżuwszy go ze śliną, budują plastry; widzimy pszczołę, biorącą nektar z kwiatów, niosącą w „koszyrkach“ pyłek kwiatowy, wracającą do ula ze zdobyczą i t. d. i t. d.

I wszystko to zaczyna nas tak mocno interesować, jakby się o ludzkich trudach, wysiłkach i poświęceniach czytało.

Ale bo naprawdę, czyż to tak wielka różnica? Czy istotnie taka przepaść dzieli nas od naszych „siostrzynek-pszczołek“, jakby rzekł święty Franciszek z Assyżu.

Wizerunki roślin miododajnych i wszelkiego rodzaju wrogów pszczół — od ptaków do pasorzytów i mikrobów — dopełniają ilustracyjnego działu książki.

Ks. Ciborowski posiada dar, właściwy wszystkim ludziom miłującym, iż przedmiotem swego umiłowania zainteresować potrafi nawet zupełnie obojętnych, nawet profanów i ignorantów w danej dziedzinie. Książkę jego czyta się z takim samym zajęciem, jak Maeterlincka „Życie pszczół“.

Nie posiada wprawdzie proboszcz z Adamowicz talentu literackiego wielkiego poety, ale za to posiada nieocenioną wartość naocznego świadka. Nic u niego z literatury! Wszystko z osobistych obserwacji, powiedzieńby można, z osobistych przeżyć z rojem pszczelim!

Gdy opisuje lot pszczoły po „wziątek“, jak to ona „dobiera najlepszych dróg, osłoniętych od wiatrów, pędzi więc pod osłoną wzgórz, drzew, budynków“, „a gdy wypadnie lecieć w polu gołym bez osłon, przeszywa prąd powietrza bokiem, w skos, pod wiatr, aby na skrzydłach swoich i wiatru łatwiej powracać do domu z ciężarem“, — jesteśmy pewni, że autor to widział, że obserwował te gromadki lotnych robotnic, ciągnących stale temi samymi drogami, czasem do 9-ciu kilometrów wdał.

Wdzięczny owad odsłania mu chętnie tajemnice swej pracy. Zamiłowany pszczelarz potrafi dojrzeć takie rzeczy, których zimny przechodzień nie zobaczy nigdy. Oto np. pszczoła zbiera pyłek kwiatowy: Stosownie do planowej organizacji pracy, zbiera go zawsze z jednego rodzaju roślin; jeżeli pierwszy kwiatek, nęcący bogactwem pyłku, był z jabłoni, całe obnoże ma kolor biały; żółty z leszczyny lub wierzby — ceglasty z rezedy, karminowy z kasztanu i t. d.

„A gdy już „koszyczki“ pełne, młoda pszczoła, silna i chętna do pracy, radaby wziąć więcej ciężaru; wtedy zdobywa się na pomysł: niech każdy włoszek jej ciała będzie w pracy pomocny! nurza się w złocie kwietnego pyłu i cała ubogacona i radosna w słońcu, śmignie rażno do góry, brzęknie wesoło: migiem do domu!”

„Tam siostrzyce pomogą jej rozebrać się z bogatego stroju, tam „matka“ podziękuje jej, z łaski wielkiej pozwoli pogłaszać się mackami...”

Ale bywają loty niefortunne, wichry, słoty... skrzydła wypowiadają posłuszeństwo, wtedy „pszczoła dąży piechotą do ula, nie zbłądzi napewno”, a gdy dotrze do celu: „Ave patria”:

W tych opisach, może sam nie wiedząc o tem, ksiądz-pszczelarz jest poetą i malarzem niepospolitym.

W cichej pracy pasiecznej nasuwają mu się refleksje, niepozabawione pewnego smętku.

Mówiąc o zapładnianiu przez pszczoły roślin, przytaczając wymowne przykłady, jak pewne gatunki drzew owocowych, sprowadzone do Australji, nie owocowały wcale, choć z wiosną okryte były kwieciami, dopóty, dopóki nie sprowadzono tam także pszczół, dodaje mądry pasiecznik uwagę: „tak z wielką energją prowadzą one dzieło przez Stwórcę im wyznaczone, zapładniania kwieciami, pomagania w miłości innym tworom, gdy jest ona im samym obcą”.

Te i t. p. opisy i refleksje dodają dziełu ks. Ciborowskiego niezmiernie wiele wdzięku i barwności.

Jest ono najnowszem ogniwem w polskiej literaturze pszczelniczej. A łańcuch to długi, sięgający dawnością w wiek XVII-sty., gdy Walenty Kącki w r. 1612 wydał pierwszą polską książkę o pszczolach. Ojcem nowoczesnego pszczelnictwa polskiego jest ślązak Dzierżon, dalej idą Lubieniecki, Girdwojn, Ciesielski, Lewicki Kazimierz i inni.

Prace ich są albo wyczerpane, albo też nie odpowiadają już potrzebom chwili i współczesnemu poziomowi badań naukowych.

Wydana w momencie odradzania się pszczelnictwa polskiego, książka ks. Ciborowskiego powinna być rozchwyтана przez fachowców i amatorów pszczelnictwa. Powinna też znaleźć się w każdej bibliotece szkolnej, kółka rolniczego, domu ludowego i t. d.

Cena 7 zł. nie jest stosunkowo wysoką za duży, obficie ilustrowany tom.

Poprzedza ona wydawnictwa dalsze, z których „Praca w pasiece” jest już w druku, i stanowi do nich niejako wstęp teoretyczny.

W słowie wstępnem do pierwszego dzieła ks. Ciborowskiego, pisze Jan Wilczyński, prof. uniwersytetu w Wilnie: „Pieczołowita ścisłość, obfity materiał cyfrowy, zwięzła kolejność omawianych zagadnień, aż nadto obficie ilustrowanych oryginalnymi zdjęciami, wartość dzieła podnoszą do poziomu rzeczy — w Polsce — przynajmniej dotychczas — jedynej w swoim rodzaju, którą, oprócz fachowca-pszczelarza, może i powinien zainteresować się każdy przyrodnik-biolog”.

Książka znajduje się na składzie w księgarni Kazimierza Rutskiego w Wilnie.

H. C.

PARĘ SŁÓW O GOTOWANIU

W ostatnich numerach „Bluszczu” dałam krótki rys historii sztuki kulinarnej, chcąc przekonać moje czytelniczki, że gotowanie, to nauka bardzo stara i bardzo pożyteczna; dla tych, które nie mają o niem pojęcia, daję dziś garść praktycznych wskazówek, jak sobie radzić, aby się zbytnio nie martwić nad sklecaniem jakiego takiego obiadu. Za zasadę przyjmujemy, że kupować będziemy tylko pierwszorzędne produkty, myli się bowiem ten, co sądzi, że tańszy materiał opłaca się — przeciwnie, im towar lepszy, tem wydajniejszy, i mniej go kupić potrzeba. I tak: masło im tłusciejsze — tem mniej zawiera szumowin i twarogu, i mniej go wychodzi do smażenia — mięso z dobrze upasionej sztuki, mniej się kurczy w gotowaniu, więc jest podzielniejsze. Mąka im czystsza i bielsza, tem sporsza. Kasze w najpierwszych gatunkach bardziej narastają, a jarzyny i owoce — im dorodniejsze, tem smaczniejsze. Mięso wołowe najważniejszą odgrywa rolę w codziennych potrzebach naszych — jemu też najwięcej poświęcimy uwagi. Na rosół liczyć będziemy po ćwierć kilo na osobę mięsa z kośćmi; nalejemy na nie około pół litra wody na jeden talerz, po wygotowaniu bowiem zostanie zaledwie ćwierć litra, a rosółu nie dolewa się pod żadnym pozorem. Mięso wstawia się bez płókania, gotuje równo na bardzo małym ogniu, nie szumując wcale, bo szumowanie odbiera smak rosółowi. Gdy po godzinie takiego go-

towania szumowiny przestaną się pokazywać, ściągnąć rosół, nalać łyżkę zimnej wody, wtedy tłustość, pozłotą zwana, oddzieli się natychmiast, a fusy opadną na spód. Pozłotę trzeba starannie zebrać, bo jest niesmaczna i niestrawna, rosół posolić, włożyć różnej włoszczyzny, licząc na 2 kilo mięsa: 3 grube pietruszki, pół selera, 2 pory, 3 marchewki, jedną dużą, lub dwie małe cebule, upieczone w całości na blasze, i dwa małe suszone grzybki. Włoska kapusta dodaje smaku rosółowi, ale trzeba ją wpierw sparzyć i włożyć w rosół na godzinę przed wydaniem. Dobrze jest dosypać do rosółu cukru na koniec łyżeczki, dla nadania mu łagodnego smaku. W zimie świeżą włoszczyznę zastąpić można z powodzeniem suszoną.

Jeżeli chcemy gotować rosół z cięlciną, trzeba mięso zblanżerować, aby rosół nie był biały. Bardzo podnosi smak rosółu włożenie w czasie gotowania dróbek z kury, lub indyczki, byle nie z wątróbką, bo od wątróbki rosół mętnieje. Rosół powinien gotować się 3 do 4 godzin, zależnie od miękkości mięsa. Przed podaniem trzeba rosół na chwilę zesunąć — zebrać starannie resztę tłuszczu i przecedzić do wazy na przygotowane poprzednio dodatki. Jeżeli gotujemy zupę na rosole — możemy ugotować lżejszy na kostkach — lub drobno porąbanych kościach od pieczystego. Dobroć mięsa wołowego poznajemy po żywym czerwonym kolorze, białym oblewającym je tłuszczu,

twardym tak, aby nie ustępował pod palcem. Sztuka mięsa gotuje się w rosole — dobroć jej zależy od gatunku mięsa i ugotowania w miarę, nie może być ani za miękkie, ani za twarde; najlepszą na sztukę mięsa jest część krzyżowa. Na pieczeń duszoną bierze się środkową zrazową, zbija mocno, parzy lekkim octem, przegotowanym z korzeniami, tak, aby cała nim była pokryta. Wyjętą z octu obetrzeć — naszpikować grubymi paskami słoniny obsypanej przetłuszczonym pieprzem, nasolić, niech tak poleży ze dwie godziny. Po dwóch godzinach rozpalić dobrą łyżkę masła prawie na rumiano, obrumienić prędko pieczeń ze wszystkich stron, żeby soku nie straciła, ułożyć ją w ciasnym naczyniu, a podlewając potrochu wodą, dusić trzy do czterech godzin, z dodaniem różnego warzywa, cebuli, grzybka suszonego, korzeni i t. p.

Tak samo dusi się wszelkie sztuftady, zrazy, zrazyki, uważając, aby podlewając co jakiś czas wodą — nie lać jej za dużo, aby mięso nie gotowało się, ale dusiło. Podczas duszenia trzeba często rondlem potrząsać, żeby mięso nie przywarło — nie ma bowiem nic gorszego, jak przypalona pieczeń, lub zrazy.

Cielęcinę wybierać trzeba z cielęcia od czterech do ośmiu tygodni mającego; młodsza ani starsza cielęcina jest nie smaczna. Duża pieczeń cielęca, sparzona ukropem przed włożeniem pod blachę, aby cały sok w sobie zatrzymała, piecze się do dwóch godzin; włożywszy pod nią i na nią kawałki masła świeżego, piec na górnej kondygnacji, aby się prędko zrumieniła — gdy to nastąpi, można dopiekać na dole, a będzie soczysta — wody nie dolewać — bo zamiast piec, będzie się gotować.

Do siekanego mięsa dodaje się na kilo jedną bułkę, namoczoną w rosole, lub mleku i ze skórki otartą — i jedną łyżkę osianej tartej bułki — rozetrzeć masę, lekko odcisnąwszy, ze sporym kawałkiem masła, wbić 2 żółtka, trochę soli, kto lubi, może wziąć pieprzu odrobinę — wyrabiać doskonale rękami z pół godziny — od dobrego wyrabiania zależy pulchność kotletów. Tak się przyrządza wszelką siekaninę — pamiętając, że smażyć kotlety trzeba na maśle nie zbyt rozpalonem, ale koniecznym klarowaniem, inaczej przylgną do patelni i będą z wierzchu twarde.

Do wszelkich klopsów, pieczeni siekanych i zresztą wszędzie, gdzie potrzebna jest bułka rozmoczona, lepiej brać tartą, którą nalać trzeba rosółem, lub mlekiem, a każde mięso zrobi się pulchniejsze i nie będzie się dzielić. Wątróbkę przyrządzać można rozmaicie — zawsze jednak trzeba namoczyć ją na kilka godzin w mleku, lub ostatecznie w wodzie przed obciągnięciem z błonki. Mięso baranie tym samym podlega warunkom, co wołowe — powinno być czerwone, mieć cienkie nerwy, a łój biały i delikatny. Baranina jest najpożyteczniejsza w gospodarstwie, bo odznacza się trwałością — zastąpić może wszelkie dania wołowe; nawet rosół z niej, umiejętnie przyrządzony, będzie doskonały: jeżeli mięso przed wstawieniem zblanżerujemy, czyli odparzymy, aby mu odjąć niemiły zapach barana. Wieprzowina powinna być koloru bladego różowego, obłana i przerosnięta białą zupełnie tłuszczem — trzeba uważać, aby w mięsie nie było białych kulek, wielkości ziarenka kaszy — są to bowiem węgry bardzo szkodliwe dla zdrowia.

Starego, chudego drobiu kupować nie warto, nic z niego dobrego się nie robi — najlepiej orientować się po łapach i kolanach, które młode sztuki mają grube i nie kształtne. Z wiekiem ginie ta cecha. Dobrą kurę, indyczkę, perliczkę poznaje się po białości mięsa — nie kupować takich, które mają uda fioletowe, prawie sine. Chcąc ugotować kurę na potrawę, nie gotować jej nigdy razem z wołowem mięsem, bo najładniejsza zciemnieje; gotować ją samą, a podczas gotowania nakryć rondel białym papierem. Młoda gęś i kaczka mają spodnią część dzioba tak miękką, że z łatwością da się odgiąć i złamać; tłustość powinna być biała i przezroczysta. Drób, za wyjątkiem kaczki i gęsi, lepiej piecze się na rożnie — ale upiec go można i w piecyku, byle najpierw postawić u góry, aby się z wierzchu szybko zrumieniło, nie puszczając ze siebie soku. Potem postawić na dole, dla dopieczenia. Pieczystego nie przewraca się w piecu — kładzie się gładką stroną do góry, a drób — piersiami. Zamiast opalać drób nad słomą, lub wiórkami, trzeba położyć kurę, lub indykę na półmisku, oblać spirytusem i zapalić — opalą się z włosków i skruszeją jednocześnie. Zwierzynę i drób można w zimie dłużej przetrzymać, ale koniecznie w skórce, lub piórach, bo inaczej zwiędnie. Zajace i kuropatwy tylko młode są smaczne — zajaca poznaje się po słuchach, które u młodego dadzą się drzeć na paski. Kuropatwa młoda ma piórka nieco spiczaste, stara — okrągłe. Po oprawieniu zwierzyny nie trzeba jej moczyć, nie powinna bowiem widzieć wody, bo smak straci.

Ryby kupować najlepiej żywe — śnięte są zawsze niebezpieczne, o ile ktoś nie zna się doskonale — czerwone skrzela i wypukłe oczy są pewną gwarancją świeżości. Gotując rybę, trzeba po oprawieniu nasolić ją, włożyć w wanienkę, zalać zimnym, wygotowanym z włoszczyzny i korzeni, smakiem, gotować od 20 do 30 minut, stosownie do wielkości — do smażenia pokrajać rybę na dzwonka, posolić, utarzać w mące, umaczać w rozbitym jajku i obtoczyć w przesianej bułeczce — smażyć do zrumienienia na gorącym klarowanym maśle, lub na używanych przy dzisiejszej drożyznie masła, roślinnych tłuszczach, jak „Kunerol“ i inne. Rybę też można piec w piecyku w całości, często polewając masłem. Jarzyny wszystkie blanszować koniecznie, solić na dogotowaniu. Makaron włoski odlać po pierwszym zagotowaniu, zalać osolonym ukropem i dogotować. Ciasto na pierogi zagniatąć wolniej, jak na kluski, koniecznie z jajkiem, cienko wałkować i dobrze zaciskać — gotować, jak kluski, na osolonej wodzie, wyjmować łyżką durszlakową, dobrze odsączając, na półmisek, przelewać obficie słoniną, lub masłem jeżeli mają być podane na gorąco; kłaść prosto z ukropu w zimną wodę, jeśli podać je mamy na zimno, i układać jeden przy drugim, żeby się nie pozlepiały.

Jabłka na kompot po obraniu zacisnąć cytryną, żeby nie ściemniały — gruszki kłaść w wodę z odrobiną ałunu — suszone śliwki, po umyciu włożyć w kamienny garnek, przełożyć cynamonem, lub skórką cytrynową — nalać miękką wodą, przykryć i wstawić pod blachę na godzinę — skoro napęcznieją i będą miękkie, sos doprawić cukrem i ostudzić. Sałaty po wypłókanu nie odciskać, ale włożywszy w serwetę, potrząsać lekko, aż do osuszenia. Na naleśniki rozbić



mąkę z jajkami, rozebrać ciasto wodą na pół z mlekiem zmieszana — na samem mleku będą łykowate. Dla zapobieżenia ich przypalaniu się, przed smaženiem posypać gorącą patelnię solą, a gdy ta przestanie trzeszczeć zsypać ją, wytrzeć patelkę do czysta ściereką, piórkiem smarować masłem, lub pocierać skórka od słoniny, nalewać cienko i rozprowadzać naleśniki. Wszelkie kasze trzeba wypiekać przykryte w kamieniem naczyniu w piecyku, nie mieszając, tylko potrząsając rondlem, żeby się nie przypaliły, wody nalać odpowiednio do ilości kaszy, tak, aby ją nakryła. Leguminy i potrawy, wypiekane z rondla, stawia się nie przykrywając na dole w piecyku. Piecem średnim, lub wolnym, nazywamy piec, w którym pieczone lub legumina piecze się i rumieni powoli. Piec gorący, jest bardzo rozpalony, aby wstawiona potrawa od razu ogień chwyciła. Czy upieczona legumina — poznaje się za pomocą słomki, która wkłuta, jeżeli sucha — potrawa gotowa, jeżeli oblepiona — trzeba jeszcze piec. Potraw liczy się na osobę: rosółu i zupy — ćwierć litra, sosu na 12 osób — litr, mięsa z kośćmi — ćwierć kilo na osobę. Polędwicy i każdej pieczeni bez kości — kilo na 5 osób. Kurczę — na 2 osoby. Pularda, bażant, perliczka, kaczka — na 4 do 5 osób. Gęś, indycza — na 6 do 8 osób, Indor — na 10 do 12 osób. Zając dorosły — 6 do 8 osób. Ryby — ćwierć kilo na osobę. W leguminie liczy się jedno jajko na osobę. W języku kucharskim używa się wyrażen, nie zawsze znanych, i tak: Tranżerować, znaczy — rozbierać, krajać. Panierować — otaczać w mące, w jajku, i znów w tartej osianej bułce. Blanżerować — sparzyć, lub odgotować jarzynę, albo mięso.

I. S.



CZYSTA ZUPA GRZYBOWA

Najprostsza chyba potrawa, którą jednak rzadko kiedy i gdzie smacznie podają. Na sześć osób wziąć sześć (nie więcej) ładnych, średniej miary, białych, prawdziwych grzybków, (stare grzyby dają brudny, ciemny kolor i nieprzyjemny, gorzko — kwaśny smak zupie.) Dwa litry wody nastawić z marchewką, pół pietruszki, kawałkiem selera, całą porą, całą cebulą, ćwiartką włoskiej kapusty; włożyć umyte grzybki. Starannie zszumować, wrzucić listek, pięć ziarn pieprzu i tyleż ziela, posolić, gotować wolno na brzegu blachy aż jarzynki i grzybki zmiękną. Zupę przecedzić przez czyste sitko, pokrajać w cienkie paski grzybki i jarzynki, włożyć je do wazy, gdzie muszą być przygotowane, oddzielnie ugotowane, aby nie zamąciły zupy, trzy duże kartofle, pokrajane też w paski, i spora łyżeczka dobrego masła. Zalać to gorącą zupą i zaraz podawać. Jeżeli podajemy tę zupę z uszkami, należy te uszka zrobić z oddzielnie ugotowanych grzybów (mogą być użyte starsze nieco grzyby.) ugotować oddzielnie w osolonym wrzątku, odcedzić i włożyć do wazy, zamiast kartofli.

POLEWKA WINNA

W niektórych częściach kraju podawana obok zupy rybnej, grzybowej lub barszczu, na wilję. Litr czerwonego, stołowego wina zagotować z litrem wody, laską cynamonu, pięciu goździkami i kawałkiem skórki cytrynowej. Sześć żółtek ubić do białości z pół kilo, (mniej nieco, jeśli kto lubi mniej słodko,) cukru, rozprowadzić szklanką gorącego, winnego płynu, (gdyż żółtka, wlane wprost w rondel, mogłyby się zważyć,) zmieszać z resztą i ubijać trzepaczką na wolnym ogniu, aż się mocno zapieni. Wylać do wazy i podawać natychmiast bardzo gorące. Oddzielnie podaje się do tego grzaneczki z bułki, zrumienione na śmietankowym maśle. Kto chce mieć tę polewkę mocniejszą, może wlać do gotowej już, duży kieliszek koniaku, araku lub rumu.

ZUPA PIWNA, ZE SZCZERYM POSTEM

Dwie butelki czarnego piwa, zmieszać z trzecią butelką wody, dodać trzy łyżki miodu, jeden goździk, pięć ziarn ziela, zagotować, wlać łyżeczkę najlepszej oliwy. Do wazy pokrajać cieniuchno pół cytryny wraz ze skórka. Na to wlać gorące piwo i zaraz podawać. Oddzielnie podać na talerzu zrumienione, cieniuchno w paski pokrajane grzaneczki z czarnego lub pytlowego chleba.

SZCZUPAK W ŁUSCE

W taki sposób przyrządzony szczupak jest nadzwyczaj smaczny i delikatny. Dużego szczupaka oczyścić z wnętrzości, robiąc możliwie mały otwór, starannie i ostrożnie wyjąć żółć, aby się nie rozdużyła, osolić mocno wewnątrz, potrzymać tak godzin parę. Zgiąć go w krag, włożyć ogon w paszczę, przetknąć drewnikiem. W odpowiednim do rozmiaru szczupaka rondlu, zagotować wody na wysokość pół dłoni, osolić mocno, włożyć cebulę, listek, pieprzu, ziela, parę łyżek mocnego octu, włożyć szczupaka grzbietem do góry, uważając, żeby go woda przykryła. Nakryć pokrywą i gotować na mocnym ogniu, aż skrzela odstawać zaczęły. Wodę odlać, przykryć rondel sitem lub przetakiem, przewrócić ostrożnie rondel na przetak, przetak pokryć okrągłym półmiskiem i jeszcze raz przewrócić, szczupak będzie leżał znów grzbietem do góry. Ubrać go listkami jarmużu i zaraz gorącego podawać. Ślicznie wygląda w łusce, którą każdy usuwa dopiero po nałożeniu na talerz, przed jedzeniem. Do takiego szczupaka podaje się chrzan z octem, lub zimny, ostry sos musztardowy.

OKONIE „AU GRATIN“

Bardzo duże (kilowe) okonie, oczyścić, osolić na godzin parę. Metalowy półmisek posmarować grubo masłem, położyć ryby, posypać obficie tartą bułeczką, prawdziwymi grzybami, ugotowanymi i pokrajanymi w paski, tartym ostrym serem. Ryba powinna być tem zupełnie pokryta. Na wierzchu porozkładać kawałeczki masła, podlać paru szklankami smaku z grzybków, lejąc na spód półmiska, nie na rybe, i piec przez pół godziny w średnio gorącym piecu, uważając, aby się ładnie wierzch zrumienił, a nie przypalił. Podawać na tym samym półmisku.

KARP' ZAPIEKANY Z POMIDORAMI

Półtorakilowego karpia oczyścić, osolić na godzin parę, pokrajać na dzwonka, utarzać w mące, usmażyć na maśle, dodając nieco oliwy, aby się nie przypaliło. Nelsonkę wysmarować masłem, układać w niej rzędami karpia, przekładając dużymi, cienkimi plasterkami hiszpańskiej cebuli (pół kilo cebuli). Szklankę marmelady pomidorowej zmieszać ze szklanką śmietany, odrobina pieprzu, zalać tem karpia. Posypać bułeczką tartą z ostrym serem, wstawić na dziesięć minut w gorący piec. Podawać natychmiast w tem samem naczyniu.

TORT MAKOWY

Czwierć kilo maku sparzyć wrzątkiem, odcedzić po paru godzinach, wycisnąć w płótnie zeń wszelką wilgoć. Utrzeć w makutrze doskonale, gdy miękki, dodawać po jednym dwanaście żółtek i 25 deka cukru, wlać dwie filiżanki gęstej, kremowej śmietanki, kilkanaście migdałów gorzkich utłuczonych, na koniec wsypać 30 deka mąki kartoflanej i wyrobić jeszcze doskonale. Gdyby ciasto było zbyt gęste dolać jeszcze śmietanki. Na koniec dodać białka, ubite na sztywną pianę, wymieszać ostrożnie i przełożyć do tortowej formy, wysmarowanej masłem i wysypanej bułeczką. Piec w niezbyt gorącym piecu, próbując patyczkiem, gdy patyczek czysty — ma dosyć. Wyłożyć go ostrożnie na półmisek. Gdy ostygnie zupełnie, polać dużym kieliszkiem araku, zmieszany z pół filiżanką gęstego syropu cukrowego. Po paru godzinach, gdy dobrze tym syropem przesiąknie, pokryć go czekoladową pomadką, ze szklanki cukru, 10 deka tartej czekolady, pół szklanki mleka i łyżeczki od herbaty śmietankowego masła.

ANYŻKI

Sześć jaj i 40 deka cukru włożyć w rondel i ubijać trzepaczką na wolnym ogniu, aż zapieni się mocno, zdjąć z ognia i nie przestawać ubijać, aż zupełnie wystygnie; włożyć garstkę czysto przebranego anyżu i około 40 deka mąki pszennej, wyrobić masę doskonale, rozsmarować cienko na blachy, wysmarowane masłem, i upiec w bardzo wolnym piecu; pokrajać w długie, wąskie paski, owijać na wałku, dopóki gorące. Podsuszyć jeszcze dobrze w piecu.

WIANUSZKI MIGDAŁOWE

Czterdzieści deka migdałów słodkich, sparzyć obrać z łupinek, pokrajać w cienkie paski i doskonale wysuszyć w letnim piecu. 40 deka pudru cukrowego utrzeć z czterema białkami i sokiem z jednej cytryny na gęsty lukier, mieszać z krawędziami migdałami. Pokrajać opłatki na kawałki kwadratowe pięciocentymetrowe, ułożyć je na posypaną lekko mąką blachę, układać na nią wianuszki z masy migdałowej i upiec, a raczej ususzyć tylko w bardzo letnim piecu. Można zamiast wianuszków układać podłużne ciastka i na każde położyć po pasku smażonej skórki pomarańczowej.

Pani Elżbieta.

KORESPONDENCJE
DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

Pani L. B. Świryna. Adresy, żądane przez Sz. Panią są: Światowid: Redakcja i Administracja Nowogrodzka 26. — Sklep uczniowski pod firmą „Nasz Sklep” Sienna 1 — Warszawa.

Pani L. W. Ostrowiec. Baranki białe pierze się benzyną, jeżeli nie odpruwa ich się z pod okrycia — w przeciwnym razie można wyprać mydłem „Lux”, postępując, jak zwykle. — Po dokładnem wysuszeniu wytrzeć dobrze — następnie, wytrzeć magnezją paloną, potem czyścić i trzepać dopóty, dopóki biele. — O ile starannie wyprane w Luxie, czyszczenie magnezją będzie zbędne. Naturalnie mowa tu o zwyczajnych barankach, używanych do podbicia okryć.

Pani Jadwiga T. W. Książki Guillaume'a o które Sz. Pani zapytuje, wyszły w przekładzie polskim i są do nabycia w księgarni Gebethnera i Wolffa — Warszawa.

Pani J. W. Czartojew. W tak krótkim przeciągu czasu żądanych kursów skończyć nie można, musi zatem Sz. Pani prywatnie tę kwestję załatwić. Podaję adres osoby, która w krótkim czasie wyuczyć może Sz. Panią bardzo dokładnie kroju. Warszawa Marszałkowska 78 m. 9 — III piętro Pani Zakrzewska.

Pani M. R. w Radzyminie. Rozpuścić biały wosk drobno poskrobany w benzynie, maczać w tym płynie miękki galganek, zmoczyć nim meble; jak wyschną, wycierać do glansu flanelą, lub miękką szczotką.

Dla numeru abonamentowego 4.532 Zrobić syrop z cukru zamoczanego w wodzie, licząc 1 kg. cukru na 1 kg. migdałów. Próbować gęstość syropu patyczkiem drewnianym, który, jeżeli umaczały w syropie, a następnie w zimnej wodzie, od razu stwardnieje i kawałkami od drewnianka odlatywać będzie, jest dobry. Wrzucić weń wytarte serwetki migdały, mieszać łyżką na ogniu, a skoro zaczną obsychać, odstawić, posypać mialkim cukrem i znów smażyć, aż do zrumienienia. Wylać półmisek, lub blat marmurowy, zimną wodą, układać na nim migdały po jednemu, a jak wystygną, złożyć do blaszanego dobrze zamkniętego pudełka od angielskich cukierków

Góralce w Porębie. Trudno przewidzieć, jak długo krótkie włosy będą w modzie; sądzę jednak, że dzięki swojej wygodzie, moda ta nie może być przejściową.

Są nazwy wytworów mody czysto Paryskich, których spolszczyć się nie da, nie chcąc stworzyć jakiegoś polskiego dziwola. Żelazo działa dodatnio na bezkrwistość. Brom jest znany jako środek uspakajający nerwy. Tak co do używania żelaza, jak i bromu, radziłabym zwrócić się do lekarza. Katar gardła i nosa leczy się inhalacjami, najlepiej w Ciechocinku. Gimnastyka lecznicza w wielu wypadkach chorób jest wskazaną zwłaszcza u dzieci; o pod ręcznik zechce Sz. Pani zwrócić się do księgarni Arcta Nowy-Swiat 35.

Pani J. Z. Rzeszów. Batyst kolorowy najlepiej prać w letnim zalewaniu mydłem Lux, którego liczy się ezubatą łyżkę na jedną sztukę. Rozpuścić w ukropie, dobrze zapieni, poczem dać ostygnąć; dobrą przegotowaną letnią, koniecznie miękką wodą. Prać nie trąc, tylko wyciskając bieliznę i często zmieniając płyn, dopóki zupełnie czysty nie będzie. Dobrze wyplókać, również w chłodnej wodzie i suszyć w cieniu, nakrywając z wierzchu prześcieradłem. Tylko bardzo lichy materiał tak prany zmienia kolor.

Pani M. W. Sobibór. Proszku złotego i błękitu do rozrobienia go dostanie Sz. Pani w składzie farb i lakierów „Karpiński i Leppert” Jerozolimska 30 w Warszawie.

Pani F. P. Sokołów Podlaski. Chustek trójkątnych różnych wzorów ciągle podajemy. Zechce Sz. Pani przejrzeć uważnie „Bluszcz” a napewno znajdzie Pani, co potrzebuje.

Pani H. J. Modlin. Cena arkusza wzorów dodawanych do „Bluszcza” jest 30 groszy. Niestety, służyć Sz. Pani kompletem nie możemy, gdyż przeważnie numery są wyczerpane; zaledwie niektóre posiadamy.

KTO CHCE TANIO I ŁADNIE UBRAC CHOINKĘ I PRAKTYCZNIE URZĄDZIĆ ŚWIĘTA — MUSI NABYĆ

„OZDOBY CHOINKOWE” I „POTRAWY WIGILIJNE”

POSZCZEGÓLNE ZESZYTY „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”.

Cena każdego zeszytu 1 zł. 50 gr., które należy przesłać do Administracji „Życia Praktycznego”

Krak. Przedm. 99 przekazem pocztowym, lub na konto P. K. O. 170.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Ziutce. Sądząc z listu — ma pani łożotok twarzy w bardzo silnym stopniu. Środki stosowane były dobre — tylko że kuracja musi trwać dłużej. Bardzo znaczną poprawę uzyskała by pani przez naświetlanie twarzy światłem górskim. Co do włosów to proszę napisać, czy są również tłuste.

Pani Elżuni z Poznania. W ostatnim numerze „Bluszczu” odpowiedź była umieszczona dla Sz. Pani, w sprawie szkoły masażu, tylko pod innymi literami, zakradł się jedynie błąd w adresie, wobec czego powtarzam całą odpowiedź: szkoła masażu w Warszawie istnieje od kilku miesięcy przy ulicy Zgoda 8 m. 2. Zakład Dr. Asyst. chirurcji Zaorskiego Jana. Po 4 miesięcznym kursie teoretycznym i praktycznym egzamin przed komisją, pod przewodnictwem delegata władz państwowych. Egzamin i świadectwo uprawnia do wykonywania zabiegów, wchodzących w skład masażu leczniczego. Szkoła mieści się przy ulicy Zgoda 8 m. 2. Nauka odbywa się w godzinach wieczornych. Do wstąpienia wymagane jest ukończenie szkoły felczerskiej, albo akuszerskiej, ewentualnie 4 klas szkoły średniej.

Nowy kurs rozpocznie się w styczniu. Masaż obecnie jest tak stosowany powszechnie, że nauczanie się masażu może zapewnić skromne utrzymanie. W każdym razie raczej masaż, niż pisanie na maszynie. Wedle statystyki obliczono o ile tysięcy więcej jest maszynistek niż samych maszyn w Polsce. Kobiety, mające jakąś inicjatywę, stanowczo powinny wybrać zawody wolne. Maszynę zaś zostawić dla kobiet, które absolutnie w inny sposób zapracować nie mogą.

Mateczce. Szkarlatyna, sam wyraz wywołujący paniczny lęk — najstraszniejszy nieprzyjaciel dla zwalczenia którego dotychczas nie było środka. Czy szczepić małe dzieci przeciw szkarlatynie — jest to pytanie tak często spotykane — trudno mi odpowiedzieć zupełnie pewnie. Są przeciwnicy wśród świata lekarskiego, są też i zwolennicy, nawet bardzo zagorzali.

Właściwie przeciwników zdecydowanych jest bardzo niewiele, a ich przeciętna odpowiedź na pytanie o szczepieniu jest: „nie wiem”. — Faktem jest, że ilość zachorowań zmniejszyła się pod wpływem szczepienia znacznie, a nikomu szczepienie nie zaszkodziło. Naturalnie, dziecko przed szczepieniem musi być zbadane przez lekarza, czy nie gorączkuje i czy nerki są w porządku. Dlatego szczepienia powinien dokonywać lekarz-specjalista. Ile szczepień należy wykonywać?

— Jedno — próbne, a 3 — istotne. Szczepienia powinny być robione w odstępach 2-dniowych. Jeśli pani przyjedzie na 10 dni, to zupełnie wystarczy. Polecić pani mogę Dr. Goldmana Janusza — Andrzej — ul. Nowogrodzka 45 — bardzo sumienny i solidny lekarz. — Jakież są koszty, trudno zgóry określić. Sam materiał do szczepienia kosztuje około 10 złotych.

Nauczycielce. Pielęgnacja skóry suchej powinna polegać na myciu twarzy w wodzie letniej i nacieraniu „Moim Kremem” rano i wieczorem. Pudru używać jedynie na dzień.

A. S. Ziółka. Żararaki nie są rozpowszechnione w handlu korzystają z nich pacjentki i mogą być wysyłane za zaliczką pocztową jedynie po uprzednim zbadaniu.

X. Y. Odpowiedzi w „Bluszczu” są bezpłatne; listy po wysłaniu.

Nieczelnej. Przy zamawianiu Mydła Liliowego, Mego Kremu, Mego pudru i Piegolinu proszę o podawanie bardzo wyraźnych i dokładnych adresów. Często nie mogą być wysłane z powodu niedostatecznych adresów.

Zamawiać można Krucza 31 m. 3.

Dr. J. Świątalska

* * *

Na liczne zapytania Czytelniczek jak wykonać należy poszczególne wzory, radzimy nabyć książeczkę p. t. „Haft kolorowy”, która zawiera dokładną naukę wszystkich ściegów, oraz wzory naturalnej wielkości i kosztuje 1 zł. 50gr.

Otrzymać ją można w Adm. „Bluszczu”, która dla Czytelniczek nie dolicza kosztów przesyłki.

OPIS SUKIEN I ROBÓT
DO NR. 50

- 1130. Suknia balowa z georgette'y i koronki koloru blond.
- 1131. Suknia aksamitna, przybrana fałbankami ze złotej koronki.
- 1132. Suknia blado-niebieska jedwabna haftowana dżetami.
- 1133. Suknia dla młodej panienki z crêpe de chine'u różowego, przybrana girlandami róż z georgette'y.
- 1134. Sukienka plisowana z crêpe de chine'u ponsowego dla dziewczynki dwunastoletniej, szarfa szkocka.
- 1135. Suknia z jedwabiu fiołkowego i lila georgette'y przybrana pacioremkami.
- 1136. Suknia z crêpe marocain przybrana frendzlą.
- 1137. Suknia wełniana granatowa przybrana barwnym haftem.
- 1138. Sukienka welwetowa dla dziewczynki dwunastoletniej przybrana barwnym galonikiem.
- 1139. Suknia wełniana granatowa — przód popielaty.
- 1140. Spódnica brązowa, układana w fałdy, bluzka piaskowa przybrana brązowym.
- 1141. Komplet bielizny opalowej, przybrany walansjona.
- 1142. Nocna koszula z jedwabnego płótna, przybrana gipiurą.
- 1143. Komplet bielizny z jedwabnego płótna blado-różowego, objęty plisą nieco ciemniejszą.
- 1144. Płaszcz sukienkowy dla małego dziecka.
- 1145. Sukienka z woalu ponsowego, wyszyta granatowym, dla małego dziecka.
- 1147. Fartuszek dla małej dziewczynki.
- 1146. Kapturek welwetowy dla małej dziewczynki przybrany haftem.
- 1148. Sukienka aksamitna przybrana haftem dla dziewczynki sześciolatniej.
- 1149—1150. Bielizna dziecinna przybrana haftem i koronką.
- 1151. Sukienka z woalu niebieskiego przybrana haftem dla dziewczynki pięcioletniej.
- 1152. Ząbki do przybrania sukni, haftowane wełną i trzy motywy do haftu lub aplikacji.
- 1153. Środek poduszki, haft kolorowy.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3,50
suknia zwyczajna	„ 2,50
bluzka	„ 2,00
formy dziecinne.	„ 2,00
bielizna	„ 1,50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza tymi, które były umieszczane w „Bluszczu”, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

* * *

Zawiadamiamy Nasze Czytelniczki, że jedna ze stałych współpracowniczek działu robót w „Bluszczu” organizuje komplety haftów artystycznych. Informacje telefonicznie do 10-ej rano i od 3-ej do 4-ej pp. Telefon Nr. 273-34. Jednorazowe porady w sprawach robót.